№ 37. Lwów — Środa dnia 15 Lutego. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct. w Niemczech . . . 1 „ 50 „ w innych Państwach . 2 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 20 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł. Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct. na prowincyi . . . . 6 ct. Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każde słowo 2 ct. tłustym garmondem „ „ 3 ct. koresp. prywatne „ „ 4 ct. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 30 ct. Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 80 ct.

Dziś: Popielec. Faust. Sym. i Anny | Jutro: św. Julianny P. Izydora Pr.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 7 m. 15 Zachód „ „ 5 m. 15

Długość dnia godzin 10 m. 0 Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 14 lutego.

Stała antipolska heca w Niemczech wywołała protest szlachty niemieckiej, co z naszej strony zasługuje na życzliwe uwzględnienie. Organ historycznej szlachty *Deutsches Adelsblatt* wystąpił z długim artykułem, w którym surowo potępia hakatyzm rządowy i prywatny, a przypomina owe zapomniane czasy, kiedy naród niemiecki wydawał żarliwych obrońców sprawiedliwości, równej dla wszystkich obywateli. „W Poznańskiem — powiada to pismo — mamy do czynienia ze znaczną częścią wielkiego narodu, którego niepodobna pochłonąć, chociaż to może uchodzić za pożądane. Musimy tam starać się o jakieś porozumienie, godne również wielkiego narodu, jakim jest niemiecki. Polacy posiadają piękną tradycyę i bardzo silne poczucie narodowe, należą razem z nami do jednej cywilizacyi, niemniej jednak nie są nam tak blizcy jak n. p. Alzaci lub Szlezwiczanie, bo posiadają zupełnie odrębny język, odmienne ideały narodowe i całkiem inne religijne życie. Te różnice powinny być uwzględniane, bo zresztą ignorowanie ich nie przyniesie nam pożytku. Już sam rozbiór Polski był wielką krzywdą, wyrządzoną zdrowemu narodowi, i wielkim historycznym wypadkiem, którego niewłaściwość występuje dosadnie w fakcie, że po stu latach nic się nie zmieniło w polskich uczuciach. Wszystko, co w ciągu ostatniego wieku musieli przeżyć Polacy, wszelkie środki zastosowywane do nich oni zawsze uważają za dalszy ciąg rozbioru ich ojczyzny, więc za akt gwałtu, z którym ludzkie uczucie nie może się pogodzić. Dawniej liczyliśmy się z takiem usposobieniem Polaków, rozumieliśmy ich i obdarzaliśmy naszem współczuciem, a ono zbliżało ich do nas. Były też czasy, w których Polacy pod berłem pruskiem uważali się za szczęśliwszych od swych braci z dwóch innych dzielnic. Niezaprzeczenie wówczas oni już się zaczynali oswajać ze swem położeniem i nawet ich szlachta, to jest właśnie ta część narodu, którą Bismark uważał za najbardziej nam wrogą, poczęła zbliżać się do Niemców; zwolna wytwarzały się dobre sąsiedzkie stosunki, zawiązywały się przyjaźnie, język nasz przestał razić polskie ucho i gdyby tak dalej trwało, niezawodnie dziś bylibyśmy bliżej tego celu, do którego dążymy. Lecz ucisk wszystko zniszczył, wszystko odrobił: powstała przepaść ogromna. Szczerze ubolewamy nad tem, że dziś Polacy spoglądają na nas z głęboką niechęcią i urazą, ale obwiniamy o to tylko naszych szowinistów. W swą szorstką rękę wzięli oni sprawę tak delikatną jak polskie uczucia, i odrazu zmarnowali pracę długich lat niemieckiego narodu. Tu więcej zawiniło towarzystwo hakatystyczne aniżeli rząd, bo tak już jest na świecie, że kłótnia z rządem nigdy się tak głęboko nie wraża, jak kłótnia ze społeczeństwem. Dlatego wprost można powiedzieć, że nietylko ze stanowiska moralnego, ale także z politycznego niepodobna nic przytoczyć na pochwałę tej walki, która się toczy z Polakami, a tembardziej nie można usprawiedliwić wszystkich środków tej walki, należących do jednej kategoryi gwałtów. Powiemy krótko: za wydzieranie jakiemuś narodowi języka i religii musi nadejść kara. Pozbawiamy Polaków ich moralnego fundamentu, ale ich się nie pozbywamy; będziemy ich mieli, tylko zdziczałych, nienawidzących i dobrze usposobionych dla wszelkich antispołecznych dążności. Żądamy od Polaków wierności, a cóż im dajemy? Jedna jest rozumna zasada: wierność za wierność, uczciwość za uczciwość“.

Bardzo to są rozumne zdania, tylko jedno w nich można sprostować, to mianowicie, że głównym winowajcą jest rząd, a nie hakata, bo gdyby rząd nie zaczął i nie zachęcał, toby nie wypełzły na widownię pasożyty żyjące z walki. Ciężkie jest położenie Wielkopolan, ale to udręczenie, przez które oni przechodzą, niezawodnie wyjdzie na pożytek naszego narodu, bo on pod pruskim zaborem już istotnie „godził się ze swem położeniem“, jak powiada *Adelsblatt*, a teraz otrząsa się z pruskiej rdzy i wraca do pełni narodowych uczuć, zahartowany walką i sił swych świadomy. Hakatyzm jako polityka jest naszym czyścem, a pruskim błędem.

W środkowo-amerykańskiej republice Nikaragui wybuchła rewolucya przeciw rządowi, jako protest przeciw budowie kanału międzyoceanowego. Rząd Stanów Zjednoczonych, uzyskawszy w kongresie waszyngtońskim zatwierdzenie projektu kanałowego, przystąpił do zawarcia kontraktu z rządami nikaraguańskim i kostaryckim, dając im obydwom razem siódmą część akcyj, a resztę ich oraz cały zarząd kanału zachowując sobie. Właśnie przeciw temu podniosła się ludność Nikaragui, uważając, że taki kontrakt jest szkodliwy dla kraju. Rewolucya wybuchła w portowem mieście Greytownie, gdzie właśnie ma się zacząć kanał. Wnet przed tym portem pojawiły się okręty Stanów Zjednoczonych i wycelowały swe armaty na miasto, a wojska rządu nikaraguańskiego wkroczyły do środka i stłumiły ruchawkę. Trzeba jednak przyznać, że oburzenie ludności jest całkiem usprawiedliwione.

Odezwa młodoczeska.

Piszą nam z Wiednia 12 lutego:

Ogłoszona dziś odezwa młodoczeska składa się z szumnych i dwuznacznych frazesów. I tak zdanie: „Przesilenie konstytucyjne tylko tak może być korzystnie rozwiązane, jeżeli publiczna władza państwa powróci do owych podstaw, na których jedynie trwałość federacyi habsburgskiej wydaje się zabezpieczoną przeciwko wszystkim zamachom zewnętrznym i wewnętrznym, — do prawa i sprawiedliwości w całym organizmie państwowym“ — jest ogólnikiem, przypominającym orzeczenia wyroczni delfickiej. Może ono oznaczać rozwój instytucyi publicznych w kierunku autonononicznym. Ale może także zawierać żądanie do powrotu do „podstaw“ z przed roku 1526, 1620, do stosunków wytworzonych np. rozpędzeniem sejmu kromieryzkiego w marcu r. 1849, albo do dyplomu październikowego z r. 1866 — może zawierać stanowczą negacyę całego, prawnego rozwoju stosunków konstytucyjnych od r. 1867. Kto zaś zna trochę bliżej usposobienie i poglądy roznamiętnionych ciągłą skrajną agitacyą mas w Czechach, nie będzie ani chwili wątpił, że one w tym duchu zrozumieją odezwę, co naturalnie zwiększa przeszkody, utrudniające ugodę na podstawie wzajemnych ustępstw. To też nawet tak przychylny młodoczechom dziennik, jak *Reichswehr*, słusznie dziś zauważa: „Z ubezwładnienia parlamentu wodzowie młodoczescy wyprowadzają wniosek o konieczności radykalnej zmiany urządzeń konstytucyjnych lub nawet ich zupełnego zniesienia. Czyż nie domyślają się, że w ten sposób zostaną osamotnieni? Prezydent Izby spodziewa się (w interwiewie ogłoszonym wczoraj w *N. W. Tagblatt*) że z Czech nadejdzie hasło przywrócenia prawidłowej czynności parlamentu, w czem zgadzają się z nim wszyscy umiarkowani politycy na prawicy i na lewicy, a Czesi odsyłają Radę państwa do lamusu!“ Także *Fremdenblatt* przypomina młodoczechom, że inne stronnictwa prawicy, zwłaszcza Koło polskie w swej znanej rezolucyi, wypowiedziały życzenie spiesznego przywrócenia prawidłowej czynności parlamentarnej, i że większość nie uspokoi się hypoteką na te młodoczeskie obiecanki, ani nie utrzyma się przy pomocy „radykalnych abstrakcyi i mrzonek“.

Rzeczywiście dzisiejsza odezwa klubu młodoczeskiego, oparta wyłącznie na haśle: „Czechia fara da se“ i przemawiająca w tonie, jak gdyby młodoczesi sami rozstrzygali o losach monarchii, nietylko nie ułatwia pożądanej akcyi ugodowej w Czechach, ale bardzo znacznie utrudnia stanowisko innych stronnictw prawicy. Nie dość na tem, że dzienniki czeskie uchwaloną jednomyślnie rezolucyę Koła polskiego, zupełnie zgodną z uczciwemi jego tradycyami, usiłowały osłabić i poniżyć plotkami o rzekomych „intrygach“, „ambicyach osobistych“, które zarzucają każdemu, kto się odważy na veto przeciwko komendzie młodoczeskiej, ale nadto odezwa klubowa staje w rażącej sprzeczności z rezolucyą Koła polskiego, bez którego ofiarnego poparcia młodoczesi nie byliby nigdy dostąpili nawet do skromnego znaczenia w parlamencie, i którego pełne poświęcenia poparcie od r. 1879 umożebniło wszelkie zdobycze Czechów.

Jako wstęp do tej odezwy wczoraj w *Narodnich Listach* pojawiła się mowa jenerała Bogoljubowa, który zawikłania parlamentarne w Austryi radzi wyzyskać w celach panslawistycznych na korzyść utwierdzenia panowania Rosyi nad wszystkimi Słowianami. Możnaby się czasem domyślać, że zawikłania w Austryi umyślnie i sztucznie zaostrzają się jedynie w tym celu, aby z nich skorzystał panslawizm rosyjski à la Bogoljubow, Kramarz etc.

Odezwa posłów czeskich

Odezwa, którą omawia nasz korespondent wiedeński w liście dzisiejszym, opiewa w głównych punktach swych jak następuje: „Przesilenie, w którem od dwóch lat znajduje się parlament wiedeński, przybrało charakter niewyraźny. Stosunki publiczno-prawne austryackiej rzeszy wymagają nieodzownie ścisłego uregulowania, gdyż w przeciwnym razie wzmagający się rozkład polityczny ustaliłby się na dobre. Walka, którą naród czeski od początku ery konstytucyjnej prowadził o równouprawnienie swego języka w krajach korony czeskiej, nie ukończyła się jeszcze przez wprowadzenie języka czeskiego do urzędów państwowych w Czechach i na Morawach, tudzież przez rozszerzenie jego zastosowania na Szląsku. Na mocy rozwoju dziejowego i wedle prawa przyrodzonego, należy się w tych terytoryach językowi naszemu, jako językowi większości, pierwszeństwo w życiu państwowem. Atoli naród czeski nie dąży do żadnych prerogatyw, a żąda tylko w krajach przez się zamieszkałych równorzędności i traktowania swego języka na równi z językiem niemieckim. Wielka część posłów niemieckich obstaje i nadal przy niesprawiedliwem żądaniu hegemonii narodu niemieckiego w życiu państwowem, i nie może znieść, że naturalnym biegiem rzeczy supremacya niemiecka bez gwałtu i bezprawia nie może nadal się utrzymać ani w ciałach prawodawczych, ani w administracyi państwowej.

Z tego to powodu niemieccy posłowie z lewicy podjęli na całej linii walkę przeciw rozporządzeniom językowym, zmierzającą do tego, by za pomocą teroryzmu, wymuszenia i bezładu przywrócić panowanie mniejszości nad większością i wznowić połączoną z tem tyranię krzywd i niesprawiedliwości“.

Manifest zaznacza dalej, że stronnictwa obstrukcyjne ubezwładniły parlament, ponieważ spodziewają się, że absolutyzm przyniesie im większe korzyści niż sprawiedliwość i wolność — i tak dalej opiewa:

Wszelka praca stała się niepodobieństwem dla parlamentu wiedeńskiego. Ponownie dostarczono dowodu, że obecne urządzenia konstytucyjne nietylko nie są w stanie odpowiedzieć różnorodnym stosunkom królestw i krajów tej rzeszy, przedstawiających odrębne indywidualności historyczno-polityczne, ale wręcz naruszają prawa narodów i utrudniają ich rozwój... Rzecz naturalna zatem, że posłowie czescy w dalszem trwaniu sesyi Rady państwa nie mogą dopatrzeć się rękojmi rozwikłania obecnych niesnasek.

Przesilenie konstytucyjne tylko wtedy może być rozwiązanem z korzyścią dla stanowiska mocarstwowego i wzmocnienia Austryi, jakoteż ku zadowoleniu wszystkich jej ludów, jeżeli władze publiczne w państwie wrócą do owych podstaw, które jedynie zapewniają istnienie habsburskiej rzeszy przeciwko wszelkim dążeniom zewnętrznym i wewnętrznym, t. j. do prawa i sprawiedliwości w całym organizmie państwowym. Od tego, jaki obrót wezmą rzeczy w najbliższej przyszłości, zależeć też będzie ostateczne usunięcie teraźniejszych zawikłań i możliwość powrotu spokojnych stosunków“.

W takiej tedy chwili przełomowej zwracają się posłowie czescy do narodu swego, by jasno określić swe dążenia. Obstawali oni wiernie przy dzisiejszej większości od czasu jej powstania, i teraz chcą uczynić wszystko, by wspólny jej program w czyn zamienić.

„Niech stanie się co chce — powiada manifest — wierni naszym przekonaniom prawno-państwowym, chcemy pracować nad tem z wszystkich sił, aby rozwój stosunków konstytucyjnych doprowadził do skonsolidowania się państwa na podstawie sprawiedliwości. W rozszerzeniu działalności sejmu królestwa czeskiego, w usamodzielnieniu administracyi państwowej w krajach korony czeskiej, w powiększeniu autonomii tak pod względem ustawodawstwa, jakoteż administracyi publicznej, upatrujemy i nadal jedyny sposób nietylko złagodzenia sporu narodowościowego, ale niemniej umożliwienia pracy prawodawczej na polu ekonomicznem i społecznem. Aby jednak posłowie czescy mogli przy rozwikłaniu obecnych komplikacyi rzucić na szalę całe znaczenie i powagę narodu czeskiego, potrzeba koniecznie, by zaistniała zupełna jedność w jego szeregach“.

Sanatoryum dla suchotników

jako jedna z najpilniejszych potrzeb społecznych.

Każdy z nas pomiędzy swymi krewnymi i znajomymi spotyka chorych na suchoty; każdy wie, że jest to choroba rozpowszechniona. Ale ten tylko może mieć pojęcie o strasznem spustoszeniu, jakie czynią suchoty, kto bliżej przyjrzał się cyfrom statystycznym i nad niemi się zastanowił. Nie będziemy tu przytaczali cyfr, dotyczących obcych krajów i miast, weźmiemy te, które najbliżej nas obchodzą.

We Lwowie umiera rocznie na suchoty 31 osób z każdych 10.000 żyjących. Na pozór nie wygląda to tak strasznie. Ale idźmy dalej. Tym 31 zmarłym odpowiada 200 żyjących suchotników, czyli że 2% całej żyjącej ludności cierpi na suchoty. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wiek, w którym suchoty zdarzają się najczęściej, to okaże się, że trzecia część wszystkich zgonów wypada na suchoty. W tym okresie życia już nie 2, ale 7% całej ludności choruje na suchoty.

Ogółem we Lwowie umiera rocznie przeszło 450 ludzi na suchoty, czemu odpowiada około 3.250 żyjących suchotników. Jeżeli przyjmiemy, że stosunek zamożnych suchotników do ubogich ma się jak 5 : 8, to wypadnie, że we Lwowie znajduje się 2.000 suchotników, którzy nie mają za co się leczyć i bezradnie czekać muszą, aż śmierć skróci ich cierpienia. Gdybyśmy nawet przypuścili, że połowa z nich albo są tak lekko chorzy, że nie potrzebują leczenia, albo też są w stanie tak rozpaczliwym, że im już pomódz nie można, to jeszcze i tak będzie 1.000 takich, którzy nadają się do leczenia, gdyby mieli po temu środki. Gdyby znowu z pośród nich ocalić tylko połowę, to mielibyśmy przeszło 500 ludzi corocznie ocalonych od niechybnej śmierci. Pomyślmy tylko: 500 osób rocznie skazanych jest we Lwowie na przedwczesną śmierć dlatego jedynie, że nikt się niemi nie zajmuje!

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!“ — modlimy się — a tymczasem i „powietrze“ i głód i wojna, razem wzięte, nie zabierają połowy nawet tych ofiar, co suchoty. Dziwna rzecz! Ludzkość tak się boi szkarlatyny i dyfteryi; tak drży na wieść, że pojawiła się dżuma lub cholera, a spokojnie patrzy na to, jak codziennie dziesiątkuje ją najstraszniejszy jej wróg — suchoty. A dodajmy, że ofiary swe zabierają one nie między dziećmi lub starcami, ale pomiędzy ludźmi w sile wieku (między 20 a 50 rokiem), których śmierć nietylko jest klęską ekonomiczną, ale nadto w rozpacz i nędzę pogrąża całą rodzinę.

Tymczasem dziś już nie ulega żadnej wątpliwości, że suchoty, racyonalnie leczone, są chorobą zupełnie wyleczalną. Co najmniej 50 prc. leczonych suchotników albo zupełnie powraca do zdrowia, albo poprawia się do tego stopnia, że nadal całe dziesiątki lat pracować mogą. Dowiedli tego najpierw anatomo-patologowie, którzy w ogromnej liczbie wypadków znajdują przy sekcyach wyleczone suchoty; przekonali się o tem później i lekarze. Pierwszym, który wskazał, w jaki sposób skutecznie leczyć można suchoty, był dr. Brehmer, założyciel znanego sanatoryum dla suchotników w Goerbersdorfie na Szląsku. Wykazał on, że głównym, niemal jedynym warunkiem pomyślnego leczenia jest to, aby chory zawsze, stale znajdował się w jak najczystszem powietrzu, t. j. przedewszystkiem wolnem od kurzu i mikrobów. Ale kiedy Brehmer kładł główny nacisk na to, że do osiągnięcia pomyślnego wyniku potrzebny jest pobyt w górach, następcy jego dowiedli, że warunek ten nie jest konieczny, i że suchoty leczyć można z dobrym skutkiem wszędzie, gdzie tylko powietrze jest czyste, a więc w lasach, na równinach i t. p. Dopiero z chwilą, kiedy się przekonano, że góry nie są niezbędnym warunkiem leczenia suchot, sprawa sanatoryum dla niezamożnych suchotników mogła przyjść na porządek dzienny. Ruch na tem polu datuje się od r. 1892.

Dwie głównie przyczyny wpłynęły na ogólne zainteresowanie się sprawą sanatoryów. Pierwszą z nich było przeświadczenie, że w szpitalach ogólnych suchotnicy nie tylko nie doznają poprawy, ale po większej części stan ich ulega tam nawet pogorszeniu. Z kwestyonaryusza, ogłoszonego w tej mierze przez dra Knopfa, widać, że żaden z większych i najlepszych szpitali w Europie i Ameryce nie mógł przytoczyć ani jednego przykładu wyleczenia suchotnika. Bardzo to jest naturalnem w obec tego, co wyżej powiedziano: głównym warunkiem wyleczenia suchot jest świeże powietrze, a tego w dostatecznej mierze nie może dostarczyć żaden, nawet racyonalnie przewietrzany szpital. Czyż mamy dodawać, że warunkowi temu nie czynią zadość nasze szpitale?

W tem samem położeniu, co chorzy szpitalni, znajduje się inna kategorya chorych, nieco zamożniejszych — tych, którzy nie udają się do szpitali, i leczą się we własnych mieszkaniach. Wyobraźmy sobie niższego urzędnika, artystę, literata nieraz żonatego, mającego dwoje lub troje dzieci i chorego na suchoty. Mieszkanie małe, składające się z dwóch pokoików, tuż obok kuchnia i okna szczelnie pozamykane, aby nie wiało; powietrze w tych warunkach bywa tak nieznośne, że kilkunastu minut wytrzymać tam nie można. I gdzież tu myśleć o wyzdrowieniu? Do sanatoryum istniejącego, chory taki udać się nie może, bo nie ma odpowiednich środków. Cóż mu więc pozostaje? Oto umierać spokojnie, dlatego, że dotychczas nikt nie pomyślał o pomocy dla ubogich suchotników. Ale ze śmiercią chorego wszystko złe się nie kończy. Chory taki staje się źródłem zarazy dla całego otoczenia. Gdyby mógł znaleźć pomieszczenie w sanatoryum, nietylko sam mógłby powrócić do zdrowia, ale nadto zniknęłoby ognisko zarazy. Dziś zatruwa on członków najbliższej rodziny, a za lat kilka lub kilkanaście jego dzieci tak samo umierać będą i tak samo zarażać następne pokolenie.

Ale tu nie koniec. Chory, który nie jest przykuty do łóżka, chodzi i roznosi zarazę po całem mieście, przez co staje się niebezpiecznym nietylko dla najbliższego otoczenia, ale i dla dalszych. Statystyka wykazuje, że w tych miastach, w których śmiertelność ogólna z suchot jest większa, śmiertelność klas zamożnych również jest większą, aniżeli w tych, w których ogólna śmiertelność jest mniejszą. W Berlinie, przy ogólnej śmiertelności 28 na 10,000 mieszkańców, ludzie zamożni umierają w stosunku 7 — 10 na 10,000; w Peszcie zaś, przy ogólnej śmiertelności 70 na 10,000, zamożni umierają w stosunku 30 — 35 na 10,000. Ponieważ warunki życia ludzi zamożnych są wszędzie mniej więcej te same, należy więc przypuścić, że na większą śmiertelność ludzi zamożnych w Peszcie wpływa jedynie większa łatwość zarażenia się.

W ten sposób klasy zamożne z dwóch względów zająć się winny losem ubogich su-

---

26)

PODLOTEK

POWIEŚĆ

przez **Zofię Kowerską.**

(Ciąg dalszy).

Czuje ją człowiek, ta istota rozpieszczona, która umie światło i ciepło stworzyć sobie sztucznie, a kwiatom kwitnąć w zimie rozkazać może. Starzec się z niej raduje. Boi się zimy, jesień go przeraża, wiosna jego serce napełnia nadzieją. Nie czuje dysharmonii jaką tworzy wśród tej „młodości roku“, przysłuchuje się dźwiękom, śpiewom i szeptom natury, zdaje mu się, że wraz z nią odradza się. Cóż dopiero młodzi! Chyba bardzo nieszczęśliwymi muszą być ci, których wiosna pocieszyć nie zdoła.

Żyło ich dwoje takich niedaleko siebie, a jednak rozłączonych tęskniących jedno do drugiego, przecież unikających się stale, mówiących jedno o drugiem obojętnie, choć serce było pełne. Wiosna! Mogła sobie ona przychodzić dla świata całego, mogły się nią radować ludzie, zwierzęta, rośliny... do duszy Reni kołatała ona napróżno. Napróżno niosła jej ciepły, rozkoszny swój powiew, napróżno napełniała jej pokój cudną wonią fiołków, napróżno pieściła jej oko barwami, ucho świergotem ptaków... Wzrok Reni biegł w przestrzeń i widział tylko obrazy własną wywołane fantazyą, ucho słyszało tylko słowa dawno już wymówione... i tylko te jedne miały siłę przyspieszenia bicia jej serca. Jakaś tajemnicza siła leżała w tych obrazach, bo gdy tylko Renia znalazła się sama, zaraz porywały jej wyobraźnię, myśl, duszę... Przebudzenie się z takiego snu sprawiało jej ból; Renia powracała do rzeczywistości z westchnieniem. Czy zapomni kiedy? Czy nawet zapomniećby chciała?

Zmianę, która zaszła w Reni, wszyscy przypisywali blednicy. Renia przyjmowała nieskończoną ilość pigułek żelaznych, znosiła oblewania zimną wodą, poddawała się dyecie pożywnej, lecz wśród kuracyi chudła coraz bardziej, choć nie cierpiała wcale i na nic się nie skarżyła. Słyszała o tem, że można umrzeć z suchot wskutek nieszczęśliwej miłości, ale piersi nie bolały ją wcale i kaszlu nie miała najmniejszego. Żeby tylko spać mogła! To jedno życzenie wyrażała Renia wyraźnie, lecz pomimo zapewnień lekarza, że zimne oblewania sen jej sprowadzą, tęsknota, marzenia, właśnie noc sobie obierały na odwiedziny i Renia co rano na zapytanie: „Jakże spałaś?“ odpowiadała: „Nie dobrze“. Lekarz jednak zapewniał zupełne uzdrowienie i to uspokajało otaczających.

Henryk nie bywał prawie wcale w Borzycach. Przyjeżdżał zwykle na krótko, szedł prosto do pokoju Michała, a gdy mu ten proponował przejście do salonu, wyjeżdżał pod pierwszym lepszym pretekstem.

Michał nie spostrzegał w tem nic nadzwyczajnego. Przyzwyczajony był do ekscentryczności Henryka i nie dziwiły go one wcale. Michał wogóle nie wielu rzeczom się dziwił; praktykował on w najwyższym stopniu poszanowanie dla indywidualności bliźniego i to go strzegło od wielu fałszywych kroków.

Henryk wszakże, pomimo, że unikał Reni, w swem sercu bynajmniej nie dawał za wygranę. Renia była dzieckiem prawie, on był młodym, czującym w sobie bogaty zasób życia, oboje więc mogli czekać. Rzeczy same z siebie ułożyć się muszą, gdy Zosia Omniewska się przekona, że on o niej nie myślał nigdy i nigdy myśleć nie będzie. Postanowienie Reni obali czas i siła okoliczności. Pomimo swej gwałtowności czuł, że w tym razie najskuteczniejszą będzie zwłoka.

Zadziwił się odbierając z poczty list Reni. Prosiła by za pierwszą swą bytnością w Borzycach usiłował pomówić z nią sam na sam, miała do niego prośbę, którą mu ustnie wyrazić chciała. Pojechał natychmiast i uczuł się najnieszczęśliwszym z ludzi, gdy ujrzał Renię bladą, osłabioną, z trudem chodzić mogącą. Cała rodzina była jej zdrowiem mocno zaniepokojona i nikt się nie zdziwił, gdy dziewczyna do przejścia się po ogrodzie przyjęła ramię Henryka. Obok szli wprawdzie Zosia i Michał, jednak Renia potrafiła skorzystać z wązkiej ścieżki, na której obie pary znalazły się nieco oddalone od siebie, by szepnąć:

— Ja pana bardzo proszę, niech pan nie przyjeżdża do Borzyc... ja teraz jestem chora... mnie to bardzo męczy, że ja się co dzień spodziewam pana... Jak pan jest u Michasia, to znowu myślę, że pana zobaczę i jest mi przykro, gdy pan do salonu nie przychodzi... Zdaje mi się, że będzie mi lżej, gdy będę pewna, że pana nie zobaczę nigdy.

— Reniu — rzekł Henryk — ja z tobą muszę pomówić dłużej! Może nareszcie zrozumiesz...

— Nic nie rozumiem — odparła Renia. — Gdyby pan miał siostrę kochaną, czyby pan jej zadał taką boleść?... Ja tego Zosi nigdy nie zrobię! Wolę umrzeć niż ją tak zranić!

— Więc słuchaj, pojutrze przyjadę tu konno... wracając będę przejeżdżał koło ogrodu... ty tam bądź... muszę z tobą pomówić...

Renia spuściła głowę zamyślona.

Henryk nie wątpił, że jej przyzwolenie na schadzkę pozyskał.

Nie było jej wszakże w ogrodzie, gdy we dwa dni poźniej konno obok rowu i żywopłotu przejeżdżał. Począł więc częściej bywać w Borzycach, ale spotykał się wciąż z wiadomością, że Renia bardzo osłabiona, wolała przebywać w swoim pokoju. Nakoniec pewnego dnia udało mu się zastać Renię samą w salonie, gdyż pani Omniewska z Zosią wyjechały po sprawunki do miasta powiatowego.

Henryk wszedł cicho, przeczuwając, że nakoniec zobaczy Renię, a bojąc się, że na jego widok ucieknie. Siedziała w fotelu, z oczami błądzącemi po wzorzystym dywanie i Henryk mógł dobrze ocenić zmianę, jaka w niej zaszła od czasu spędzonych z nią tygodni we Wronowie. Rumieńce opuściły dziewczęcą twarz, usta do śmiechu i pocałunków stworzone, pobladłe były i zaciśnięte.

— Reniu! — szepnął Henryk pod wpływem wzruszenia, nad którem zapanować nie był w stanie.

Rumieniec okrasił policzki Reni, czyniąc ją podobną do dawnego, uroczego pączka róży. Opamiętała się wszakże prędko i powstała z takim wyrazem twarzy, że ramiona wyciągnięte ku niej opadły i Henryk stanął naprzeciw niej jak winowajca.

Drżącym głosem ozwała się:

— Po co pan tu przyjeżdża, kiedym prosiła....

— A choćbym przyjeżdżał, żeby ciebie zobaczyć, cóżby w tem było dziwnego? — zapytał Henryk z tłumioną namiętnością, rosnącą ciągle przy dalszych słowach. — Czy nie wiesz, Reniu, że bywają ofiary nad siły człowieka, że struna wyciągnięta zbyt silnie musi pęknąć, że ja mogę przyjść do ciebie i powiedzieć, że musisz być moją lub widzieć mnie nieżywego u nóg twoich....

Renia zbladła jak chusta.

— Czemu mnie męczysz? — zawołała, pierwszy raz opuszczając wyraz „pan“ w odezwaniu się do niego.

Ciche łzy płynęły po jej licu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

chotników: 1) przez uczucie litości, które przecież nie pozwala patrzeć obojętnie, jak tysiące ludzi umiera rocznie bez pomocy; a 2) w interesie własnym, aby usuwać grożące każdemu źródło zarazy. Ten ostatni wzgląd nadaje sanatoryom niesłychanie ważne znaczenie. Nietylko leczą one, ale usuwając źródło zarazy, są najskuteczniejszą bronią w walce z gruźlicą, tym najstraszniejszym wrogiem ludzkości.

Pojęły to dobrze ludy na Zachodzie i dlatego w przeciągu krótkiego czasu zabrały się z energią i powodzeniem do zakładania sanatoryów. Pierwsze wystąpiły do walki Niemcy i Szwajcarya. Inicyatywa wyszła ze strony lekarzy, ale publiczność rychło pojęła doniosłość tej sprawy i poparła ją skutecznie. Wszędzie potworzyły się komitety i związki, na których czele stanęła, obok lekarzy, arystokracya rodowa i pieniężna. W ten sposób utworzono, dzięki zwłaszcza pomocy bar. Rotszylda, pierwsze sanatoryum w Rupertsheim pod Frankfurtem, dalej pod Monachium, wreszcie przy pomocy bankiera Bleichrödera i Oppenheima w Belzig pod Berlinem, przeznaczone dla ludzi średnio zamożnych. Wreszcie zawiązało się w Berlinie, pod prezydencyą kanclerza ks. Hohenlohego, stowarzyszenie centralne, w którem koncentruje się cała sprawa sanatoryów dla Niemiec, i które udziela pomocy materyalnej zakładom nowo powstającym.

Przykład, dany przez stowarzyszenia prywatne, pociągnął za sobą i instytucye rządowe lub publiczne. Szczególniej korzystnym był udział t. zw. kas inwalidów. Instytucye te doszły do przekonania, że nietylko z punktu widzenia miłosierdzia, ale i ze względów finansowych korzystniej będzie, zamiast udzielać wsparcia niezdolnym do pracy suchotnikom, leczyć ich w pierwszych okresach choroby i nie dopuszczać, aby się stawali inwalidami. W ten sposób miasta hanzeatyckie (Hamburg, Brema i Lubeka) wybudowały sanatoryum na Harzu, Saksonia — w Albertsbergu, Szląsk — w Wodzisławiu (Löslau). Inne kasy, jako to badeńska i brandenburska, już są w trakcie budowania własnych sanatoryów. Dalej okręgi (np. Altona w Westfalii), miasta (jak Monachium), fabryki i koleje budują dla swych chorych takież zakłady. Kasy chorych, tak liczne w Niemczech, zamiast dawać chorym pieniądze na leczenie, wysyłają ich do licznych, istniejących w Niemczech sanatoryów prywatnych. Wreszcie Towarzystwo Czerwonego Krzyża w Berlinie urządziło z własnych funduszów sanatoryum. Dzisiaj Niemcy posiadają już przeszło 1.000 łóżek dla niezamożnych suchotników; za lat kilka będą ich miały pięć razy tyle, a jest rzeczą prawdopodobną, że wkrótce wyjdzie prawo, nakazujące, aby każdy okręg posiadał własne sanatoryum, a to na tej zasadzie, że gminy winne leczyć swych ubogich, leczenie zaś winno być istotne, prowadzące do celu, a nie iluzoryczne.

W Szwajcaryi wszystko, co dotychczas zrobiono, powstało z ofiarności publicznej, a jednak zrobiono niemało. I tak miasto Berno, dla upamiętnienia pięćsetletniego jubileuszu swego istnienia, zebrało odpowiednią sumę i wybudowało sanatoryum nad jeziorem Thun. Znaczną część funduszów zebrano w ten sposób, iż wypuszczono akcye, nieumarzalne i nie dające procentu, ale dające co rok prawo do zakwalifikowania jednego chorego do sanatoryum. Miasto Bazylea wybudowało świetne sanatoryum w Davos-Dörfli, a kanton Glarus w Braunwaldzie. Wreszcie z inicyatywy pastora Bion'a powstała centralna kasa pomocy ubogich suchotników, której zadaniem jest pomagać nowo powstającym zakładom. Jest nadzieja, że w krótkim czasie każdy kanton będzie miał własne sanatoryum. Francya, która we wszystkich kwestyach hygieny idzie zawsze na ostatku, i pod względem sanatoryów mniej zrobiła. Wprawdzie posiada ona wzorowe sanatoryum powstałe z prywatnej ofiarności, w Ormezan i Villiers pod Paryżem, ale jest ono przeznaczone wyłącznie dla dzieci. Dla dorosłych zaś dopiero miasto Lugdun z prywatnej ofiarności zbudowało zakłady w Hauteville, a municypalność Paryża wznosi obecnie sanatoryum w Angicourt.

Jeżeli, jak to wyżej wzmiankowaliśmy, systematyczne i świadome celu zajęcie się sprawą sanatoryów zaczęło się w Niemczech, to jednak już o wiele wcześniej rozpoczęto w Anglii budować zakłady dla chorych piersiowych. Tylko, że zakłady te nie były przeznaczone wyłącznie dla suchotników, a nadto budowano je w miastach, skutkiem czego trudno je uważać za prawdziwe sanatorya. Jednakże z biegiem czasu zrozumiano w Anglii, że istniejące po miastach zakłady nie odpowiadają celowi, wybudowano więc wiele filij na prowincyi. Najpiękniejsze tego rodzaju sanatoryum istnieje w Wentnor na wyspie Wight. Pod względem komfortu i racyonalnego urządzenia przewyższa ono wszystko, co dotychczas w tym kierunku zrobiono. Wszystkie te zakłady w Angli powstały wyłącznie drogą prywatnej ofiarności, bez żadnego udziału państwa, gmin, miast itp. Każdy szpital posiada swych opiekunów i dobrodziejów; za złożoną pewną kwotę opiekun taki ma prawo kwalifikować jednego lub więcej chorych do sanatoryum. W razie ofiarowania większej sumy, prawo to staje się dziedziczne. W Wentnor osoby pojedyncze lub rodziny budowały własnym kosztem oddzielne pawilony, noszące imię ofiarodawców. Nadto kilka razy do roku w kościołach i na ulicach urządzane są na utrzymanie tych zakładów kwesty, od których nawet ludzie niezamożni się nie usuwają.

W państwie rosyjskiem, mianowicie w Finlandyi, istnieje sanatoryum w Halila, założone z prywatnych funduszów cesarza Aleksandra III-go a rozszerzone kosztem cesarza Mikołaja II-go. W sanatoryum tem jednak tylko jeden pawilon przeznaczony jest dla ogólnych chorych, 2 inne zaś mają specyalne przeznaczenie: jeden dla panien pochodzenia szlacheckiego, a drugi dla wojskowych. O ile można sądzić z opisów, sanatoryum to jest urządzone wzorowo. W Austryi, z inicyatywy prof. Schrötera, a pod patronatem rodziny cesarskiej i przy udziale całej arystokracyi i plutokracyi, zebrano sumy olbrzymie, za które wybudowano sanatoryum w Aland, najpiękniejsze ze wszystkich, jakie istnieją na lądzie europejskim. W ogóle wszystkie większe miasta w Europie: Petersburg, Londyn, Paryż, Wiedeń, Berlin, Hamburg, Monachium, Lugdun i wiele mniejszych, posiadają własne sanatorya dla suchotników.

Nie myślimy twierdzić, aby Lwów nie odznaczał się współczuciem dla ubogich; nie będziemy twierdzili, aby istniejące u nas dobroczynne instytucye nie były potrzebne; ale to stanowczo powiedzieć możemy, że doniosłością żadne z nich równać się nie może z sanatoryum dla suchotników. W tamtych zakładach starcy i chorzy spędzają ostatnie dni swe; tutaj ludzie młodzi odzyskują zdrowie i powracani bywają społeczeństwu, jako jednostki, mogące dalej pracować dla własnego i ogólnego dobra.

Wiemy dobrze, że całemu ogromowi złego odrazu zaradzić nie można. Gdyby jednak Lwów założył sanatoryum tylko na 100 łóżek, jużby wiele rodzin i osób od nędzy uchronił.

Doświadczenie w zakładach niemieckich wykazuje, że do wyleczenia zupełnego lub uczynienia zdolnym do pracy suchotnika wystarcza 3–4 miesięcy leczenia w sanatoryum. Tym sposobem w projektowanem sanatoryum znalazłoby pomieszczenie rocznie około 400 chorych. Dalej doświadczenie tychże niemieckich zakładów uczy, że 72% odzyskuje zdolność do pracy, z czego 30% można uważać jako zupełnie wyleczonych. Po dwóch latach od wyjścia z sanatoryum 70% pracowało bez przerwy, a procent zupełnie wyleczonych nawet nieco się podniósł. Rachujemy, że koszt rocznego utrzymania sanatoryum wyniósłby około 36.000 zł.; dodawszy do tego procent i amortyzacyę od sumy, zużytej na wybudowanie, około 6.000 (bo liczymy, że grunt gdzieś w lasach nie będzie więcej kosztował jak 20.000 zł., a budynek na 100 chorych z osobnym budynkiem na kuchnie i inne potrzeby nie więcej jak 80.000 zł.) otrzymamy 42.000 zł. Ponieważ z opłaty od chorych otrzymaćby można około 20.000 zł., wypada więc, że społeczeństwo rocznie dopłacać musiałoby 22.000 zł. Przyjmijmy, że tylko połowa chorych odzyska zdrowie, i że każdy z nich po wyleczeniu tylko 5 lat będzie mógł pracować. Jeżeli roczny zarobek każdego z nich obrachujemy tylko na 300 zł., to wypadnie, że 200 ludzi przez 5 lat zarobią 300.000 zł., które wrócą do społeczeństwa w zamian za wydawane rocznie 22.000 zł. I tak będzie co rok. Wprawdzie pieniądze te nie wpłyną do rąk ofiarodawców, ale pozostaną w ogólnem bogactwie narodowem.

Lecz cyfry te nie dają jeszcze rzetelnego obrazu. Iluż to w sanatoryum podobnem odzyskałoby zdrowie ludzi, którzy kiedyś mogliby się stać ozdobą społeczeństwa! Iluż to wyleczy się muzyków, malarzy, literatów, studentów, umierających w ciasnych i dusznych pokojach dlatego, że nie mają za co się leczyć. Wszak to niedawno w Warszawie zmarł na suchoty jeden z najzdolniejszych naszych rzeźbiarzy ostatniej doby, Malarski, autor znanego „Powrotu z ziemi". Gdyby podówczas istniało sanatoryum dla niezamożnych suchotników, kto wie, może człowiekiem tym chlubilibyśmy się dzisiaj.

Ale cóż znaczą powyższe cyfry wobec ogromu nieszczęścia i łez, którym możnaby w tem sposób zapobiedz. 200 wyleczonych suchotników — to nietylko 200 ludzi, powróconych do życia i pracy, to jeszcze 200 rodzin, ocalonych co rok od rozbicia, nieszczęścia i nędzy. A czyż może być coś milszego w życiu, jak módz sobie powiedzieć, że swym datkiem przyczyniło się do ocalenia życia ludzkiego i obtarcia łez kilku naraz osobom? Nie wątpię też, że wszyscy, którym szczęście i pomyślność uboższych braci leży na sercu, poprą myśl utworzenia w kraju naszym sanatoryum dla suchotników, że poprą ją przedewszystkiem ci, którzy sami wiedzą, co to jest mieć w rodzinie chorego na suchoty, i ci, którzy, sami będąc chorymi, odzyskali zdrowie w zagranicznych sanatoryach.

List do Redakcyi.

(W sprawie szkodliwości wron)

Odnośnie do artykułu „Wrony" w N-rze 31 *Przeglądu*, w którym autor w obronie wron występuje, śmiem na podstawie obserwacyi i doświadczenia stanowczo twierdzić, że wrony daleko więcej szkody niż pożytku przynoszą i na wytępienie sumiennie zasługują.

Jednym z najważniejszych powodów dlaczego zwierzostan w naszym kraju nie może się podnieść, jest bezsprzecznie wielka ilość wron i srok. W miesiącach dla łowiectwa najważniejszych t. j. w marcu i kwietniu, kiedy młode zajączki i jaja kuropatwie nie mają ukrycia przed bystrym wzrokiem tych drapieżców, sprawiają wrony łowiectwu ogromne szkody. Śmiało przyjąć można, że 50% lęgu z pierwszych dwóch miesięcy wiosny ginie od wron i srok. Wie o tem każdy myśliwy-hodowca. Także nowa ustawa łowiecka z r. 1897 uznaje szkodliwość tych ptaków i zalicza wrony do szkodników, które każdemu i w każdym czasie tępić dozwala. Dla łowiectwa więc jest wrona wielkim nieprzyjacielem; że nie sprzyja i rolnictwu, dojść nie trudno.

Pomijam szkody wyrządzane w ziarnie przy zasiewach i zbiorach, choć każdemu rolnikowi wiadomą jest trudność kultury końskiego zębu, który wrony są w stanie całkowicie zniszczyć.

Powszechne mniemanie o użyteczności wron z powodu zbierania robactwa jest tylko w małej części prawdziwem. Jak we wszystkiem tak i między robakami rozróżniamy pożyteczne i szkodliwe. Do pożytecznych należy stanowczo „glista", która z natury swojej dziurkuje ziemię i robi w niej kanaliki ułatwiające przystęp powietrza do głębszych warstw, czem oddaje rolnictwu, zwłaszcza w ciężkich glebach, niepomierne usługi. Wrony kroczące za pługiem zbierają tych glist krocie, nie na pożytek, ale na szkodę rolnictwu. Nie przeczę, że trafi się wronie uchwycić szkodnika, ale to rzadko. Małemi muszkami i chrząszczykami, będącemi nieraz plagą rolnictwa wrona pogardza, a ptaszkom które tylko szkodliwemi owadami się żywią, wrona młode z gniazda wybiera.

W zimie opędzić się im nie można; cisną się do stodół, a w polu są w stanie całe brogi ze zbożem roznieść. Wreszcie ileż utrapienia z wronami mają nasze gospodynie, którym wrony z wielkim zachodem wypielęgnowany drób z przed oczu porywają.

Że brak wron rolnictwu nie szkodzi, dowodem kraje jak Anglia i Niemcy, gdzie rolnictwo stoi bardzo wysoko, a gdzie wrony są z systematycznością tępione. W Galicyi roztacza się po dziś dzień opiekę nad rozmaitemi szkodnikami rolnictwa i łowiectwa, a dla pożytecznych stworzeń nic się nie czyni. Po całym kraju widzi się gniazda urządzane bocianom, które zjadają dla rolnictwa pożyteczne żaby, a nie widać po drzewach skrzyneczek dla szpaków, będących największymi sprzymierzeńcami rolnika. Pozbycie się szkodników a zastąpienie ich stworzeniami pożytecznemi leży w mocy człowieka. Więc jak z jednej strony tępić należy wrony, sroki i bociany, tak z drugiej po drzewach umieszczać skrzyneczki dla ptaków pożytecznych, na czem rolnictwo i łowiectwo bardzo dużo zyska.

Radwan, p. Szczucin, 11 lutego 1899.
Jan Bzowski, właściciel dóbr i członek gal. Tow. łowieckiego.

Sejmiki relacyjne.

Wczoraj w pasażu Hausmanna zdawał sprawę ze swego poselstwa p. Kozakiewicz. Na wstępie zaczął się przechwalać, że tylko posłowie socyalno-demokratyczni mają odwagę stanąć ze sprawozdaniem przed wyborcami, bo posłowie z większości, zdaniem mówcy wybrani zapomocą żandarmskich bagnetów, na odwagę tę zdobyć się nie są w stanie. Zatarg językowy czesko-niemiecki jest zdaniem mówcy zabawką, uważa on, że walczą w nim ludzie, którzy chcą sobie wyrobić wpływ i popularność u wyborców; spór ten jest bardzo na rękę rządowi, dolewa on bowiem oliwy do ognia, aby z tytułu pośrednika zagarnąć władzę, która mu się nie należy. Spór o ugodę węgierską ma także charakter obłudy i samolubstwa posłów opozycyjnych; ugoda przyniesie nowy ciężar klasom najuboższym, więc opozycyoniści, udaremniając fungowanie parlamentu, chcą doprowadzić do załatwienia ugody przez rząd na podstawie §. 14, a tem samem zrzucić z siebie za ten ciężar odpowiedzialność wobec wyborców. Obydwa te spory, nacechowane tylko obłudą partyj niby demokratycznych i postępowych, są dla robotników obojętne, robotnicy bowiem wiedzą, że to czysta komedya; przed dwoma laty złączyli się byli z opozycyą, chcąc obalić rząd ówczesny w nadziei, że przyjdzie inny, sprawiedliwszy. Nadzieje zawiodły, przeto związek socyalno-demokratyczny porzucił taktykę obstrukcyjną pewny tego, że parlament jest instytucyą, która ma nieść pomoc ludowi; zarzucano związkowi z tego powodu tchórzostwo, troskę o dyety poselskie, lecz to niesłusznie.

Opozycya niemiecka — gdyby weszła na drogę rozumnej taktyki — wykazałaby, że rządowi brak większości; młodoczesi zaś skompromitowaliby się wówczas z kretesem, bo idąc z rządem, musieliby głosować za rzeczami, wręcz sprzecznemi z interesami swych wyborców. Koło polskie, widząc że w całej tej walce parlamentarnej zbratanie się z Czechami poczyna mu być uciążliwem, chciałoby się już z tych węzłów wycofać, ze względów czysto osobistych, jak n. p. dlatego, że trudniej dziś członkom Koła uzyskać zniżenie kar za poprawianie zegara gorzelnianego. Tymczasem zaś wydaje Koło polskie dziwaczne komunikaty jak n. p. ostatni, wypowiada w nich najrozmaitsze żądania, ale z tego rząd sobie nic nie robi, Kołu zaś zdaje się, że spełniło swój obowiązek wobec kraju. Wreszcie mówił p. Kozakiewicz, że rząd traktuje posłów lekceważąco, bo gdy tylko parlament jest mu niewygodnym, rozwiązuje go lub odracza. Ten stan nie zmieni się, dopóki nie nastanie w Austryi bezpośrednie, powszechne, tajne głosowanie. Ono zapobiegnie rządzeniu bez parlamentu, które mówca uważa za zamach stanu i „rewolucyę z góry".

* *

Poseł Bojko urządził dnia 10 bm. sejmik relacyjny w Dąbrowie, dla omówienia działalności w Sejmie i Radzie państwa. Na sesyi sejmowej w r. 1897 w przededniu wyborów do Rady państwa, mówca postawił wniosek o wezwanie rządu, aby przy wyborach przestrzegał ustaw i wolności wyboru posłów. Wniosku tego nawet do komisyi nie odesłano, lecz złożono go ad acta. Była to przestroga wydana przez posłów włościańskich: nie uwzględniono jej, a na kraj i lud spadło wskutek tego wiele nieszczęść. Potem mówił sprawozdawca szczegółowo o pracach Sejmu w r. 1897 i 1898. — W Radzie państwa posłowie ludowi pozostawali poza Kołem polskiem. Na pismo ich, wymieniające warunki, pod którymi wstąpiliby do Koła, dotychczas nie otrzymali odpowiedzi.

W dyskusyi oświadczyło się kilku mówców przeciw wnioskowi, postawionemu w Sejmie przez prof. Pilata w sprawie niepodzielności gruntów włościańskich i ustanowienia minimum parceli; jedni godzili się na to pod warunkiem, że przedtem przez rozwój przemysłu i innych źródeł zarobku, ludność włościańska zdobędzie środki do życia; inni zamiast ograniczenia podzielności gruntu, domagali się dla ulżenia biedy wśród ludu: zmiany ustawy o przeniesieniu własności i zaprowadzenia monopolu wódczanego. Jeden z włościan żądał zniesienia Rad powiatowych, inny lepszej nauki w szkołach, z językiem niemieckim, począwszy od trzeciej klasy, a jeszcze inny prosił posła aby postarał się o środek zapobieżenia krwawym bójkom wśród młodzieży wiejskiej.

* *

W Pilznie zdawali dnia 11 bm sprawozdania: posłowie Bojko i Warzecha z działalności w Sejmie, a posłowie Bojko i Stapiński z działalności w Radzie państwa. Miał przyjechać także poseł Winkowski lecz usprawiedliwił się chorobą. Na sejmiku tym nie bardzo gładko poszło posłom ludowym, aplauzy były skąpe, a zarzutów dużo. Między innymi notaryusz p. Bujnowski wyraził niezadowolenie z powodu głosowania dra Winkowskiego nad oskarżeniem hr. Badeniego za rozporządzenia językowe i wzywał, ażeby ludowcy wybrani do Rady państwa wstąpili do Koła polskiego. Ks. Kotwis odpierał zarzuty, jakoby duchowieństwo było narażone na przykrości ze strony właścicieli dóbr, sprawujących patronat nad parafiami.

* *

W Jaśle w niedzielę złożył p. Stapiński sprawozdanie ze swej działalności w Radzie państwa. Słuchaczy zebrało się mało. Zachowanie się sprawozdawcy było wprost teatralne. W pełnych przesady słowach opowiadał jak to ludowcy porzuciwszy Czechów „kiwali się to na tę, to na ową stronę, wedle okoliczności i potrzeby". Sprawozdawca był przeciwny odnowieniu ugody z Węgrami, bo stąd tylko biednej ludności przypadnie nowy ciężar wskutek podatków konsumcyjnych; mówca byłby raczej za opodatkowaniem przedmiotów zbytkownych. Sprawozdanie swe zakończył p. Stapiński fajerwerkiem o ludowej Polsce bez Stańczyków, o którą dzisiaj poseł musi walczyć, broniąc ogólnych interesów Austryi.

P. Stapiński w sprawozdaniu swem nie występował przeciw Kołu polskiemu, dopiero na interpelacyę prof. Pawłowskiego, w jakim stosunku pozostają ludowcy do Koła polskiego, użył sobie p. Stapiński, wymyślając Abrahamowiczowi, Stańczykom, obszarnikom. Inny interpelant, gospodarz Pawlik, domagał się jak najszybszego zwołania Rady państwa i zniesienia §. 14go.

Co i o czem piszą.

Stając w obronie kupców chrześcijańskich, nie poprzestał p. Stanisław Markiewicz na podaniu przyczyn ich częstego finansowego upadku, lecz nadto skreślił bardzo barwnie historyę rozwoju handlu żydowskiego i to handlu tego samego Itziglebena, którego za wzór stawiała *Obrona*. Zastrzegłszy się na wstępie, że nie ma zamiaru ubliżać ogółowi kupców izraelickich, z których wielu stoi na czele bardzo solidnych firm i uczciwie prowadzi handel, pisze p. Markiewicz w *Gazecie narodowej*:

Zanim przystąpię do opisania czynów Srula Itziglebena ze Serbskiej ulicy, muszę się cofnąć o kilka lat wstecz do historyi jego teścia Mechla, którego nasze panie przezwały pieszczotliwie „Mecheś". Rozpoczął on przedsiębiorstwo przy placu „pod słońcem", gdzie rozkładał na ziemi swoje towary łokciowe i sprzedawał tanio. To też procesyami szły do Mechesia nasze panie, a czasem nawet wykwintne ekwipaże tam zajeżdżały. Zkąd Mecheś pobierał towary, nie można było sprawdzić, ale źli ludzie podejrzywali go, że jest cichym wspólnikiem swego szwagra Henryka, recte Hersza, z Krakowskiej ulicy, skąd wieczorami towary do Mechla przywożono. — Faktem jest jednak, że gdy Mechlowi kiedy czegoś zabrakło, to nie potrzeba było czekać tygodniami, aż towar z fabryki nadejdzie, ale zaraz dnia następnego Mechel miał towary i jeżeli odnośna pani u niego nie zjawiła się, to usłużny Mecheś przynosił go jej do domu. Panie lubiły go za tę usłużność i w kilka lat Mecheś dorobił się mająteczku, a gdy Herszko przy ulicy Krakowskiej ogłosił niewypłacalność a krydalny inwentarz przedstawiał zapasy towarów wartości 20.000 zl., a pasywa 80.000 zł., to Mecheś, zaofiarował wierzycielom Herszka za zapasy towarowe 50 pct. zapłaty i objął handel po Herszku. Pan prokurator gniewał się trochę i na Mechla, ale pokazało się, że Mechel nic nie winien, iż Hersz zbankrutował. Zaś Hersz został zasądzonym na 3 miesiące aresztu, bo nie potrafił wytłumaczyć w jaki sposób tyle mógł stracić. Mechel na nowem stanowisku ciężko pracował, ale udało mu się swoją i Hersza klientelę ściągnąć do siebie, gdyż zawsze sprzedawał tanio. Pierwsze zapasy towarów kupił za gotówkę, potem również za gotówkę zamówił, fabrykanci zbiegli się więc do niego, jako do zasobnego kupca i zaofiarowali mu znaczne kredyty, z których wypłacał się punktualnie. Po kilku latach ciężkiej pracy, gdy już znaczny kredyt posiadał, kupił kamienicę, ale własność zaintabulował na żonę, a będąc troskliwym ojcem 4 córek zaczął przemyśliwać jakbyto im byt zabezpieczyć i przyszedł do przekonania, że mu potrzeba zbankrutować. Przypomniał sobie swego biednego szwagra Herszka i kazał mu być na swojem dawnem miejscu, przy placu „pod słońcem". Potem wyszukał sobie czterech, wiele obiecujących młodzieńców, pomiędzy tymi i Srula Itziglebena, któremu kazał być kupcem przy ulicy Serbskiej, drugiemu kazał być kupcem przy ulicy Kazimierzowskiej, trzeciego wysłał aż do Czerniowiec, a najbardziej obiecującemu Leibusiowi, który następnie nazwał się Leonem, kazał urządzić wystawny handel w rynku czy na placu Maryackim. Posagu w gotówce nie dał Srulowi, ale kazał mu pracować i sprzedawać tanio przy ulicy Serbskiej, a wieczorami dostarczał mu towary zleżałe, lub wybrakowane. Podobnie postępował z drugim zięciem przy ulicy Kazimierzowskiej a do Czerniowiec wysyłał towary tak zwane kurantne, jak płótna, bielizna, zaś w towary najmodniejsze, zaopatrzył swego ulubionego Leonka i temu nie szczędził gotówki na wystawne urządzenie się. — Tak stały rzeczy, gdy nadeszła wiadomość, że do Lwowa zawita arcyksiążę, następca tronu. To dało powód Mechlowi, że zapotrzebował od fabrykantów znaczniejszej ilości towarów wykwintnych, albowiem spodziewano się wystawnych przyjęć, balów i licznego zjazdu gości. Niestety inaczej się stało, przyjazd został odwołany. Skorzystał z tego nasz Mechel i ogłosił niewypłacalność. Bilans wykazał, że Mechel winien fabrykantom 100.000 zł., a jego zapasy towarów przedstawiają wartość 30.000 zł. Znowu gniewał się na niego pan prokurator, ale Mechel przedstawił niezbite fakty, że miał 4 córki, a wychowanie dużo go kosztowało i że nieszczęściem jego było, że arcyksiążę nie przyjechał. Posprowadzał dużo towarów modnych, które musiał ze stratą potem sprzedawać, a nawet tak raptem wcale sprzedać ich nie może, więc nie może płacić wierzycieli. Odwołanie przyjazdu arcyksięcia było faktem, również orzeczenie ekspertów potwierdziło okoliczność, że z powodu odwołania przyjazdu, wielu przedsiębiorców doznało zawodu a niektórzy i straty ponieśli. Były więc okoliczności łagodzące i Mechel został skazanym tylko na 14 dni aresztu. Handel zaś po nim objął zięć z Kazimierzowskiej ulicy. — U siebie zatrzymał towary średnie, zaś luksusowe wieczorami zabierał Leonko do swego handlu w rynku. Mechla zaś po tej srogiej karze przytuliła do siebie żona w swej kamieniczce i on teraz „robi sobie" małe interesy pieniężne.

Mechel miał znajomość ludzi, wiedział kogo darzyć szczególniejszem zaufaniem i nie zawiódł się na Leonku. Ten interes rozumiał, urządził się wystawnie, a mimo to sprzedawał tanio. Żona jego była znakomitą kupcową. Wybór w atłasach, aksamitach i jedwabiach sprowadził im dobrą klientelę, tak, iż Leonko musiał się zwrócić do wyrobów francuskich i angielskich, a gdy zapowiedzianą została wystawa krajowa we Lwowie, pan Leon wybrał się do Londynu celem osobistego wyboru i zakupna towarów. W Londynie zgłosił się przedewszystkiem do domów handlowych, z którymi już stał w stosunkach handlowych ze Lwowa i przedstawił im okoliczność, która go osobiście do Londynu sprowadziła, mianowicie wystawa krajowa we Lwowie, a z tego powodu spodziewany znaczny zjazd znakomitych gości, różnorodnych przyjęć i rautów wystawnych. On musi się pierwej dobrze rozpatrzyć po składach fabrycznych w Londynie i na razie tylko to, co mu najpilniejsze w dwóch domach wybrał, zapłacił i polecił zaraz wysłać do Lwowa. Natomiast wiele innych towarów po różnych składach oglądał i tylko w notatce zapisał sobie odnośne numera i nazwy. Tak sobie pochodził po różnych składach fabrycznych w Londynie przez tydzień. Nic nie kupował, ale wiele sobie notował. Raptem biedny p. Leon zachorował w hotelu, a że zachorował, może i umrzeć. Zaprasza więc do hotelu kilku reprezentantów firm, którzy go już znają jako Leona N., kupca ze Lwowa i prosi ich o przysługę w tem jego nieszczęściu, aby byli mu świadkami i stwierdzili tożsamość osoby przy spisaniu testamentu, albowiem on czuje się bardzo niedobrze; może umrzeć w Londynie, więc na razie odstępuje od zakupna więcej towarów, ale musi zrobić testament. Przed zaproszonym rejentem w obecności świadków spisanym został testament Leona, w którym ze swego rzekomo we Lwowie posiadanego majątku robi legaty, a mianowicie; zapisuje na szpital żydowski we Lwowie 100.000 zł., na żydowski zakład sierót 50.000 złr., na ochronki żydowskie 20.000 złr., dla swej żony rentę dożywotnią po 5.000 złr., zaś uniwersalnym spadkobiercą mianuje swego już pełnoletniego syna i przykazuje mu, aby równie uczciwie, jak on nadal handel prowadził. Świadkom za ich grzeczność dziękuje i składa tak napisany testament w ręce rejenta z poleceniem, aby w razie jego śmierci przesłał takowy do ambasady austro-węgierskiej w Londynie. Świadków prosi tylko, aby, jeżeli któremu czas pozwoli, odwiedził go w hotelu. Tak choruje biedny pan Leon w obcem miejscu znowu cały tydzień. Były i dnie bardzo krytyczne, ale potem nastąpiło polepszenie, a wnet i niebezpieczeństwo katastrofy zostało usunięte. Lekarz orzekł stanowczo, że już mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale musi się szanować i nie wychodzić za interesami. Z takiem orzeczeniem lekarza zaprasza p. Leon do hotelu swych znajomych reprezentantów firm i z notatki swojej dyktuje im zamówienia. Ci, będąc świadkami jego testamentu, w którym poczynił tak znaczne legaty, ani chwili nie wątpili, że mają do czynienia z człowiekiem zamożnym, przyjęli zamówienia i niebawem wysłali do Lwowa, albowiem przez chorobę opóźnił się pan Leon z zamówieniem, a termin otwarcia wystawy był już niedaleki. W kilka dni po takiem załatwieniu interesów czuł się nasz p. Leon już zupełnie dobrze, a że było mu pilno powracać do domu, więc poszedł podziękować swym świadkom za przysługi i pożegnać się z nimi. Od rejenta zaś odebrał poprzednio złożony testament, zapłacił honoraryum i powrócił do Lwowa.

W powyższy dowcipny sposób, wyłudził od rutynowanych angielskich kupców, towary na kredyt w wartości nad 100.000 złr., a gdy one nadeszły, jedną część wysłał zaraz z kolei do swego szwagra w Czerniowcach, resztę zaś sprzedawał u siebie tanio, a z powodu wystawy istotnie mógł sprzedać więcej aniżeli w normalnych stosunkach. Mimo to nie mógł nie skorzystać z nadarzającej się sposobności i wnet po wystawie, gdy nadeszły termina płatności powiedział swym wierzycielom, że nie jest w możności płacić, albowiem wystawa krajowa jakoby się nie udała. Że z powodu rzekomej cholery zjazd obcych gości był nieliczny, mniejszy aniżeli się tego spodziewano, że nie urządzano balów i mało było rautów i różnorodnych przyjęć, więc on doznał zawodu, mało targował i musi towar za bezcen sprzedawać. Naprowadzone okoliczności zostały sprawdzone. Austryackim fabrykantom był również około 100.000 zł. dłużnym i przedewszystkiem z tymi zaczął się układać, którzy wiedząc, jak to zarządcy masy konkursowej umieją sobie rachować honorarya, pogodzili się z panem Leonem na 35%, a na zasadzie ustawy o przymusowej ugodzie, musieli i angielscy wierzyciele do ugody przystąpić. W ten sposób p. Leon, niepotrzebował nawet handlu zamykać i ogłaszać konkursu, ale pozasądownie potrafił zawrzeć ugodę i może dalej sprzedawać „tanio".

*

Z okazyi, że nasi kupcy, a przedewszystkiem subjekci i panny sklepowe nie zawsze są dość grzeczni dla swoich klientów, zwłaszcza zaś dla tych, którzy nabywają towar w małych ilościach, zamieszcza Prus w *Kuryerze codziennym*, w swojej Kronice tygodniowej list, który wrzekomo miał otrzymać od pewnego obywatela. Brzmi on tak:

„Szanowny Panie! Jednego dnia wstałem z rana przed siódmą, zjadłem śniadanie przed ósmą, a więc około pierwszej w południe miałem tak wściekły apetyt... No, miałem taki apetyt, że na ulicy jedna z przechodzących panienek, podobna do świeżej brzoskwini, z niepokojem zapytała starszej osoby:

— Proszę mamy, dlaczego ten pan tak patrzy się na mnie, jakby chciał mnie zjeść?...

Lecz starsza osoba, obrzuciwszy mnie wspaniałem spojrzeniem, odrzekła córeczce, rozumie się, po francusku:

— Moja Musiu, nie wypowiadaj nigdy tego rodzaju uwag o mężczyznach, których nie znasz pozycyi towarzyskiej. Zjeść mógłby cię tylko jaki doktór albo inżynier i to mający ze sześć tysięcy rubli pensyi... Nie zaś pierwszy lepszy przechodzień...

Ponieważ od dzieciństwa wyobrażałem sobie, (również na podstawie opinii moich bliskich), że dla mnie i milionowa księżniczka nie byłaby zbyt świetną partyą, łatwo więc zrozumieć, jaki cios zadała mojej ambicyi owa dama, nazywając mnie — pierwszym lepszym przechodniem. Domyśliłem się jednak, że nawet śmiertelne rany w serce nie szkodzą funkcyom żołądka; apetyt bowiem po tej obeldze nie tylko nie opuścił mnie, ale powiększył się, o ile było to jeszcze możliwem!...

Pod wpływem tedy cierpień natury odżywczej, zapominam o niepowodzeniach sercowych i, niby słowik wypuszczony z klatki, wpadam do pewnej jadłodajnej instytucyi.

Ściany wspaniałe... w meblach szkło i metal... całe jeziora piwa w różnych gatunkach... całe pagórki butersznitów, pierogów i tym podobnych rozkoszy... Gdyby za olimpijskich czasów znano piwo i kanapki, żaden z bogów nie spojrzałby na ambrozyę i nektar.

W obec tylu rozkoszy, czuję się jakby w niebo wziętym. Zbliżam się do kryształowej altanki, w której marzy zaczarowana królewna i szeptem drżącym ze wzruszenia i głodu, odzywam się:

— Czy mogę prosić o pasztecik?...

— Pasztecików nie ma, są tylko duże kawałki... — odpowiada zaczarowana królewna, głosem anioła, który pierwszych naszych rodziców odpędził od wrót raju.

— Zdaje mi się, że na najwyższej półce widzę paszteciki... — mówię skromnie.

— To są ciastka z jabłkami... — pada na mnie drugi piorun z koralowych usteczek.

— W takim razie proszę o ciastko z jabłkiem — mówię z najsłodszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek przyozdobił oblicze zgłodniałego mężczyzny!

— Nie ma się czego śmiać!... — znowu bryzga mi anioł.

Osłupiałem... Muszę zaś dodać, że nie tylko w naszej gminie, ale w całym powiecie mam opinię człowieka grzecznego, który nigdy nie uchybił żadnej kobiecie: nie tylko zaczarowanej królewnie, ale nawet najskromniejszej pastuszce. Za co więc mnie właśnie spotkał despekt?... Do dziś dnia nie mogę zrozumieć...

Prawda, że natura, obdarzając mnie życzliwem dla płci pięknej sercem, jednocześnie poskąpiła wdzięków, a nadto, że mój wiejski krawiec, Jojna Cudak, szyje mi bardzo podłe odzienie. Ale i to prawda, że ja nie prosiłem o wzajemność, tylko — o zwyczajne ciastko z jabłkami... Chyba więc nie zasłużyłem, ażeby mnie, głodnego sierotę, tak szpetnie wypędzono z zakładu...

Bóg mi świadkiem, panie kronikarzu, że pisząc to, nie chcę robić przykrości zresztą bardzo ładnej panience, z kryształowej altanki. Uważam jednak za konieczne przypomnieć naszym panom, a nadewszystko — naszym damom, które raczą pospolitować się handlowemi operacyami, że... nie zawsze są grzeczne dla kupujących. Jeszcze tam my, swojacy, musimy przecierpieć jedno i drugie. Ale w obec cudzoziemców, opryskliwość naszych dam sklepowych bardzo nam szkodzi!...

Proszę zobaczyć paryżanina albo paryżankę za ladą sklepową, proszę zobaczyć kupca berlińskiego... Jacy to grzeczni, jacy zobowiązujący ludzie, jak po kilkakrotnej bytności w sklepie — człowiek musi

ich polubić, za życzliwość okazywaną nawet nabywcom bardzo małej ilości towarów.

W Paryżu, w Luwrze, gdy zapytałem subjekta: czy, nie kupując, mogę obejrzeć sklep? — pozwolono mi włóczyć się od suteryn do piątego piętra... W Berlinie poznałem się z kupcami kolonialnymi, wędliniarzami i piekarzami, których serdeczne postępowanie ze mną pamiętam do dziś dnia, choć, miły Boże, jakie ja im tam dawałem zarobki?... A tu u nas, za swoje trzy grosze, jakże łatwo można być zwymyślanym!...

Nie twierdzę, że tak jest wszędzie. Znam przecie fabryki cukrów, apteki, księgarnie, sklepy z kwiatami, redakcye, skąd człowiek prawie nie ma ochoty wychodzić, zarówno ze względu na piękność, jak i na uprzejmość tamtejszych urzędniczek. Ale też gdzieindziej można mieć nielada zmytą głowę i za co? Chyba za to, że na ulicy wiatr wieje!...

W dzieciństwie znałem bardzo poważnego kupca, który miał zwyczaj powtarzać swoim subjektom następujące aforyzmy.

Kupiec powinien mieć zawsze:
na grzbiecie — skromny ubiór,
nad łóżkiem — ranne wstawanie,
w szufladzie — dobry towar,
w rachunkach — taniość,
w głowie — punktualność,
w sercu — życzliwość dla kupujących.
w zachowaniu się — powagę i grzeczność.

Każdy jego subjekt, po pewnym czasie, zostawał pryncypałem i robił dobre interesa. Lecz, niestety — dziś widzę, że ów patryarcha naszego handlu trzymał zbyt mało subjektów, a zaś panien, to już wcale u niego nie bywało!...

Z uszanowaniem
Filip Gwazdalski".

KRONIKA.

Lwów 14 lutego.

W sprawie Kasy oszczędności odbędzie się dziś po południu u JE. p. namiestnika konferencya, na której p. namiestnik przedstawi wynik rokowań, jakie przeprowadził w Wiedniu. Powziętą także zostanie uchwała co do dalszej akcyi sanacyjnej. Na razie tyle tylko powiedzieć możemy, że punkt ciężkości dalszej akcyi przeniesiony zostanie do Sejmu.

Fundacya jubileuszowa. Na pamiątkę jubileuszu 50-letnich rządów Cesarza, Julian br. Brunicki z Podhorzec ofiarował znaczny obszar gruntów dla szkoły rolniczej w Bereźnicy i oddał go w posiadanie funduszowi krajowemu.

Zgromadzenie wierzycieli p. St. Szczepanowskiego odbędzie się jutro we środę w domu naftowym o 10 przed południem. Celem tego zgromadzenia jest udzielenie p. Szczepanowskiemu *moratorium*.

Przeciw uciskowi podatkowemu. Pod przewodnictwem p. Kamienobrodzkiego odbyło się wczoraj wieczorem zgromadzenie architektów lwowskich w sprawie ucisku podatkowego. Wszyscy mówcy podnosili zgodnie niesłychanie trudne warunki bytu właścicieli realności wskutek przeciążenia podatkowego, które lada chwila może wywołać krach budowlany. Użalano się dalej na bezwzględne postępowanie administracyi podatkowej przy wymiarze podatków. Nie zważa ona na fasye, podawane przez właścicieli, lecz układa je sobie według swego widzimisię; bada jak liczną kto trzyma służbę, jak się ubiera, do jakich uczęszcza restauracyj, jak często bywa w teatrze, czy jeździ tramwajem czy też własnym powozem i dopiero na podstawie tych badań przypisuje osobisto-dochodowy podatek. Przysługa wprawdzie kontrybuentom prawo rekursu przeciw niesłusznemu wymiarowi podatku, ale odnośne władze potrzebują lat całych na załatwienie rekursu, tymczasem zaś kontrybuent pod grozą kary musi wymierzony sobie podatek płacić. Po przemówieniach szeregu mówców uchwalono polecić wydziałowi Stowarzyszenia budowniczych i architektów, ażeby przedstawił te uciążliwe i krzywdzące stosunki prezydentowi dr. Korytowskiemu, a do Koła polskiego przygotować odpowiedni memoryał.

Otrzymujemy następujące pismo: Odnośnie do notatki kronikarskiej w *Przeglądzie* z dnia 13 lutego 1899 podanej, proszę o zamieszczenie następującego sprostowania (§ 19 ust. pr.). Z oburzeniem odpieram insynuacyę, jakobym rezolucye w sprawie p. Zimy referowane przez p. dra Krygowskiego w ratuszu na zgromadzeniu z dnia 8 lutego 1899 popierał lub z niemi się solidaryzował. Mając w książeczkach Kasy oszczędności znaczne kapitały, przybyłem na zgromadzenie to, nie mając nawet zaproszenia, przypadkowo, w mniemaniu, że będzie omawiana kwestya asanacyi kasy i zabezpieczenia wkładek i procentów. W tym też tylko duchu przemawiałem, proponując wniesienie petycyi do rządu, aby wydał odezwę zapewniającą zwrot wkładek i procentów, a nadto sprzeciwiałem się rezolucyi żądającej objęcia kasy przez miasto, motywując, że taka chora instytucya będzie tylko ciężarem dla miasta. Z tego przemówienia przez sprawozdawcę w *Przeglądzie* z dnia 10 lutego b. r. dosłownie umieszczonego wynika w logicznej konsekwencyi, że nietylko nie popierałem rezolucyi na wyrażenie p. Zimie czci ani też żadnej innej podobnej rezolucyi, lecz byłem jej z gruntu przeciwny. To też widząc zaraz, że przemówienie moje nie odpowiadało intencyi aranżerów zgromadzenia opuściłem salę i nie byłem nawet przy uchwaleniu wiadomych rezolucyi. Proszę przy tej sposobności przyjąć wyrazy szacunku i poważania *Dr. Błażejowski*.

Konkursa rozpisują: Rada szkolna krajowa na dwie posady nauczycieli filologii klasycznej (przedmiot główny) i języka polskiego (poboczny) w gimnazyum w Stanisławowie, na posady nauczycieli języka polskiego (przedmiot główny) i filologii klasycznej (poboczny) w gimnazyach w Jaśle, Stanisławowie, Krakowie i Lwowie, nauczyciela języka ruskiego (gł.) i filologii klasycznej (pob.) w Brodach; nauczyciela języka niemieckiego (gł.) i filologii klasycznej (pob.) w V-tem gimnazyum we Lwowie; nauczyciela języka francuskiego w szkole realnej w Tarnopolu, nauczyciela historyi powszechnej i geografii tamże; na posady nauczycieli matematyki i fizyki w gimnazyach bocheńskiem, I-szem przemyskiem, stryjskiem i stanisławowskiem; nauczycieli historyi naturalnej (gł.), matematyki i fizyki (pob.) w III gimnazyum w Krakowie i w szkole realnej w Tarnopolu, nauczycieli geometryi wykreślnej i matematyki w szkołach realnych tarnopolskiej i stanisławowskiej. Termin do końca lutego. — Izba notaryalna w Tarnowie na posadę notaryusza w Dukli z terminem do 15 marca.

Kobieta-grabarz. Stolica Austryi posiada od 1 b. m. nowego funkcyonaryusza płci żeńskiej, a jest nim kobieta-grabarz. Rada miasta Wiednia nadała posadę grabarza na przedmiejskim cmentarzu Grinzing, wdowie po tamecznym grabarzu. Należy wątpić, czy znajdzie się wiele kandydatek na tego rodzaju posady, choć przykład już dany.

Defraudacya na poczcie. Pocztmistrz w Sorocku w powiecie skałackim Wiktor Gertler miał w kasie brak 1193 złr, jak stwierdził przybyły właśnie na komisyę delegat Dyrekcyi poczt. Gertler chciał się zastrzelić, lecz uwięziono go, zanim zdołał wykonać zamiar samobójczy.

„Macierz szkolna" dla księstwa cieszyńskiego. W miesiącach październiku, listopadzie i grudniu z. r. wpłynęło do kasy Towarzystwa 4.436 złr. 87 ct. Wydatki zaś wynosiły 26.722 złr. 30½ ct. (w sumie tej mieści się cena kupna placu pod budowę gimnazyum w kwocie 18.800 złr.) Cały fundusz na utrzymanie gimnazyum polskiego w Cieszynie wynosi obecnie (papiery wliczone według wartości nominalnej) 75.161 złr. 57½ ct. Fundusz stypendyjny dla biednych uczniów gimnazyum polskiego wynosi 3.416 złr. 74 ct. Fundusz na założenie i utrzymanie polskiej ochronki w Cieszynie 154 złr. 39 ct. Fundusz na założenie i utrzymanie polskiego seminaryum nauczycielskiego 350 złr. 32½ ct. Fundusz na założenie i utrzymanie bursy imienia Adama Mickiewicza 373 złr. 20 ct.

W Cieszynie, dnia 1 lutego 1899.

Zarząd Macierzy szkolnej.

Zmiana wyznania. W roku 1898 zmieniło we Lwowie swoje wyznanie 77 osób, w czem mężczyzn 34 a kobiet 43. Co do rodzaju religii, na jaką przechodzono, rozpada się ta liczba w następujący sposób: Z religii rzymsko-katolickiej: przeszło na wyznanie grecko-katolickie: 2 kobiety — na wyznanie ewangelickie: 1 mężczyzna, 2 kobiety. Z wyznania ewangelickiego: na religię rzymsko-katolicką: 9 mężczyzn, 18 kobiet — na grecko-katolicką: 1 mężczyzna, 1 kobieta. Z wyznania grecko-katolickiego: na rzymsko-katolickie: 2 mężczyzn, 4 kobiety — na wyznanie ewangelickie: 1 mężczyzna, 3 kobiety. Z religii mojżeszowej: na rzymsko-katolicką: 11 mężczyzn, 9 kobiet — na grecko-katolicką: 1 mężczyzna — na ewangelicką: 5 mężczyzn, 2 kobiety — na bezwyznaniowość: 2 mężczyzn. Z obrządku grecko-oryentalnego: na rzymsko-katolicki: 1 mężczyzna — na grecko-katolicki 2 mężczyzn.

Hr. Chambrun. W Nicei zmarł jeden z najszlachetniejszych marzycieli współczesnych, Józef hr. Dominik de Pineton Chambrun, który w filantropii, obejmującej masy jak najszersze, szukał dróg nowych. Urodzony w roku 1821, był deputowanym w roku 1857, senatorem w r. 1876. W roku 1891, po śmierci żony, z domu Godard Desmarest, postanowił poświęcić cały swój czas i majątek na badania nad kwestyami społecznemi. Pierwszym krokiem nowo obranej działalności hrabiego było założenie t. zw. „Musée Social" w Paryżu. Następnie Chambrun zaczął wydawać książki, w których krytykował ustrój społeczny i domagał się jego naprawy. Wychodził on z założenia, że na łonie przyrody nie ma ani jednego stworzenia, któreby nie mogło znaleźć pożywienia, czemuż na łonie społeczeństwa są ludzie, którzy nie mają co jeść. Hr. Chambrun wydawał kilka pism codziennych, które rozpowszechniały jego poglądy społeczne. Zmarły był gorącym wielbicielem Wagnera, o którym wydał liczne studya. Przed kilku laty w willi swej „Saint-Maurice" w Nicei, kazał hr. Chambrun zbudować z marmuru kararyjskiego kosztem 600,000 fr. świątynię ludzkości. Na frontonie gmachu widnieje napis: „Theos, Logos, Cosmos". Dochody z majątku, pozostawionego mu przez żonę, przenosiły półtora miliona franków. Prezydent Faure wręczył osobiście hr. Chambrun na uroczystem posiedzeniu „Musée Social" krzyż oficerski legii honorowej. Jules Simon i Leon Say byli jego przyjaciółmi i doradcami w sprawach filantropii i musieli często powstrzymywać jego wspaniałomyślną hojność. Zmarły ofiarowywał kilkakrotnie po 100,000 franków dla rozdzielenia pomiędzy najbiedniejszych robotników.

Bal na wywrót. „Gwoździem" nowojorskiego sezonu balowego będzie zapewne bal, na który jedna z najoryginalniejszych i najbogatszych dam towarzystwa w Nowym Jorku, mistress Stuyvesant Fish, zaprosiła te „czterysta" osób z arystokracyi na ostatni wtorek. Będzie to „bal na wywrót" — ale nie obawiajmy się, że goście na nim będą chodzili i tańczyli do góry nogami, nie! Mają oni tylko obowiązek mieć na tyle głowy maskę, a perukę na twarzy — naturalnie z małymi otworami dla oczu; w ten sposób będzie się wydawało, że całe towarzystwo chodzi i tańczy tyłem. Bal otrzymał literacką nazwę: „Soirée Bellamy" ze względu na słynną książkę tego pisarza „Looking Backward" (Patrząc wstecz).

Zmarli. W Bochni Teodor Zehenter, emer. starszy zarządzca i naczelnik salin, lat 65. — W Dołhomościskach Jan Zdzisław Gottleb Haszlakiewicz, właściciel dóbr ziemskich, wielce ceniony i poważany w sferach obywatelskich, lat 45. —

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +5, w poł. +6 R. Bar. 764. Podnosi się. Pogoda.

Americana.

Dziennikowi amerykańskiemu „*Nebrasca Advertiser*" udało się — nie ma co mówić!

Otrzymał on od swych prenumeratorów dwa zapytania:

Miss Humphrey Biggs zapytywała: „Jak ma postępować ze swemi bliźniętami w okresie ząbkowania", a mr. George Hobbson zapytywał, jak radzić sobie z mnóstwem chrząszczów, objadających jego drzewa". Współcześnie w dzienniku pojawiły się dwie odpowiedzi, które skutkiem drobnego pomieszania adresów tak brzmiały:

Nr. 1. Miss Humphrey Biggs: Weź pan słomy, polej naftą, podpal i dobrze podkurz to łajdactwo, a w parę minut załatwisz się z całą plagą.

Nr. 2. Mr. George Hobbson. Daj im pan nieco olejku rycinowego i co pewien czas pocieraj szczęki zlekka łyżeczką z kości słoniowej. Niech żują jak najwięcej.

Obadwaj prenumeratorzy chcieli zlynczować nieszczęśliwego redaktora za takie, jak sądzili, zażartowanie z nich.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we wtorek „Lohengrin", wielka opera w 3 aktach a 4 odsłonach R. Wagnera, występ Aleks. Bandrowskiego, Teresy Arklowej, Miry Heller, Jul. Jeromina i Józefa Szymańskiego. We środę po raz 1-szy „Kontrolor wagonów sypialnych", komedya w 3 aktach A. Bissona. We czwartek „Mignon", opera w 4 A. Thomasa, występ Miry Heller, Aleks. Myszugi i Jul. Jeromina. W piątek „Kontrolor wagonów sypialnych". W sobotę po południu „Grube ryby", komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego, wieczorem „Lohengrin".

Kurs przygotowawczy do egzaminu na jednorocznych ochotników (Intelligenzprüfung) rozpoczyna się z dniem 1 marca w szkole przygotowawczej St. Dobrowolskiego ul. Brajerowska boczna l. 3.

Dla dzielnicy Łyczakowskiej urządziliśmy sprzedaż PRZEGLĄDU w sklepie korzennym p. Czarneckiego.

Literatura i sztuka.

* **P. Juliusz Teodorowicz**, skrzypek, były uczeń konserwatoryum lwowskiego, który już jako kilkunastoletni chłopak występował publicznie we Lwowie i okazywał nadzwyczajny talent, koncertuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Ameryce.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 12 lutego.

(Z.). Patrząc na to, co się od kilku tygodni dzieje na giełdzie na targu walorów górniczych, zadaje sobie wielu pytanie, czy teraźniejsze harce spekulacyjne są owocem wciąż jeszcze podtrzymywanej agitacyi, czy też już ruchem żywiołowym, któremu agitacya dała tylko początek, a który teraz własną siłą pędzi naprzód i niewiadomo gdzie się zatrzyma. Wszystko przemawia za tem, że zachodzi ta druga ewentualność. Haussę wywołała Wittgensteinowska grupa t. z. montanistów przed dwoma jeszcze miesiącami, teraz jednak, jak opowiadają wtajemniczeni, sama przerażona jest widokiem swego dzieła i potajemnie sprzedaje własne alpiny i praskie akcye żelazne, gdyż przewiduje katastrofę. Bo to, co teraz dzieje się na targu, nie jest już spekulacyą, ale obłędem. W ciągu ubiegłego tygodnia podniosły się np. praskie akcye o 138 złr. z 1.008 na 1.146, alpiny dosięgły kursu 239, brüxeńskie akcye kopalniane 378.

Przypatrzmy się teraz, jakie były zeszłoroczne dywidendy tych przedsiębiorstw. Praskie towarzystwo przemysłu żelaznego dało w ubiegłym roku akcyonaryuszom dywidendę 38 zł. — dziś płacą za akcyę 1146 zł., a jeżeliby prąd teraźniejszy miał potrwać dalej, to za tydzień powinni płacić 1300, a za dwa 1500; alpiny dały w roku ubiegłym 5 zł. dywidendy, a kurs ich jest 239, za brüxeńskie akcye płacą 378, a dywidenda ich wynosiła tylko 13 zł. Rok ubiegły nie był dla Austryi jak wiadomo wcale rokiem rozkwitu przemysłowego, skądże więc pochodzi to wyższe oszacowanie wartości walorów górniczych? Oto sprawia to obałamucenie ogólne; kilkutygodniowa haussa wytworzyła u graczy takie apetyty, że nawet różnica kursu 50 zł. uzyskana w ciągu tygodnia wydaje się im za mała. Jeden z wybitnych przemysłowców, pracujących właśnie w żelazie, rzekł w rozmowie o teraźniejszych orgiach giełdowych, że nawet w takim razie, gdyby całą kulę ziemską miano opasać obręczem żelaznym i materyał potrzebny na ten obręcz zamówiono w austryackich hutach, to jeszcze teraźniejsza haussa nie byłaby usprawiedliwiona. Dla tego też nigdy nie będzie za wiele ostrzeżeń dla naszej publiczności, aby trzymała się obecnie zdala od giełdy i dla tego jeszcze raz je powtarzam. W lutym jeszcze przewidują wytrawni finansiści wielki kataklizm na giełdzie wiedeńskiej.

§ **Wiedeń** 14 lutego. Na poniedziałkowy targ zwieziono bydła rogatego na rzeź ogółem 3780 sztuk; w tej sumie było z Galicyi 524, z Bukowiny 105. Przebieg targu ożywiony. — Z całego spędu pozostało niesprzedanych 43. — Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 98 sztuk po 27—30 zł., 219 po 31—33, 190 po 34—36, 29 po 37—40 zł. za centnar metryczny żywej wagi. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 25 do 32 zł., krowy podtuczone po 24—30 zł., bydło chude dla masarzy po 18 do 25 zł. także za centnar metryczny żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu".

Berlin 14 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu pruskiego — w dalszym ciągu obrad nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych — poseł Jażdżewski uskarżał się na postępowanie organów rządowych i na wydane w ostatnim czasie, a niczem nieuzasadnione zarządzenia przeciw Polakom. Mówca zaatakował następnie cały obóz hakatystów. Poseł Staudy, konserwatysta, bronił urzędników niemieckich i potępiał agitacyę polską, uprawianą szczególnie za pomocą stowarzyszeń włościańskich i gimnastycznych. Minister skarbu dr. Miquel twierdził, że urzędnicy niemieccy w polskich częściach kraju mają szczególnie ważne zadanie pomagać rządowi w utrzymaniu wewnętrznego pokoju i w przywracaniu dobrych stosunków z Niemcami tam, gdzie stosunki te są zamącone. Gdyby posłowie polscy również naprawdę chcieli przyczynić się do uspokojenia ludności, toby zanosili swe skargi wprost do rządu, a nie wygłaszali tutaj mów prowokacyjnych. Polacy — powiada minister Miquel — korzystają z tej samej wolności prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, z tych samych urządzeń kulturalnych, co Niemcy. Gdzież więc ten ucisk, o którym mowa? Jeżeli Niemcy starają się zaprowadzić w szkołach dwujęzyczność, to jest to największem dobrodziejstwem dla Polaków. Jak można twierdzić, że my chcemy wytępić Polaków i ich język? Polacy sami ponoszą winę konfliktu z rządem, winni są, bo ciągle oddają się skrytym nadziejom, że sytuacya może się kiedyś zmienić na ich korzyść. Tworzą też nieustannie nowe stowarzyszenia polityczne, a prasa ich tylko podżega. Mówca przypomina artykuł *Kuryera Poznańskiego*, w którym było powiedziane, że dla Polaków jest największą obrazą, gdy ich kto nazwie Prusakami, oni bowiem są tylko Polakami, a co najwyżej jeszcze poddanymi króla pruskiego. Prusakami być nie chcą. Za czasów Flotwella i Grolmana — powiada Miquel — rząd starał się kwestyę polską załatwić łagodnością i obojętnością, a polityka ta wywołała powstanie polskie z r. 1863 i później miała także podobne następstwa. Ponieważ waśni historycznych nie można usunąć środkami policyjnymi, przeto staramy się obecnie osiągnąć wzajemne porozumienie, a dążymy do tego przez zakładanie instytucyj, które przyczyniają się do kulturalnego rozwoju prowincyj wschodnich, a zatem wychodzą także na korzyść Polaków. Język polski nie żenuje nas bynajmniej, tak samo, jak język holenderski, albo francuski, — tylko tam, gdzie jest używany jako środek walki, jak np. w północnym Szlezwiku lub na pograniczu polskiem, tam oczywiście musimy go zwalczać. Wobec ciągłych objawów wzmagania się narodowych dążności Polaków i my także musimy ściśle trzymać się naszej polityki. (Oklaski.)

Poseł Jażdżewski zabrał głos powtórnie i wziął w obronę działalność stowarzyszeń i prasy polskiej. Dowodził, że mowa ministra Miquela opiera się na fałszywych zasadach. Jeżeli się żąda od Polaków oświadczenia, że nie dążą do oderwania prowincyj polskich od Prus, to jedyną na to odpowiedzią jest przysięga na konstytucyę, jaką Polacy złożyli.

W dalszym ciągu dyskusyi poseł Langerhans zapytał, dlaczego nie zatwierdzono dotąd wyboru starszego burmistrza Berlina i wyraził ubolewanie, że izba nie ma sposobu wywarcia wpływu na koronę. Wiceprezydent przywołał mówcę za to wyrażenie do porządku. Minister spraw wewnętrznych von der Recke dziękuje wiceprezydentowi za udzielenie tej nagany i oświadcza, że przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność w poruszonej sprawie, — nie widzi zresztą żadnego nieszczęścia w tem, że się ta sprawa nieco przewleka. Na tem obrady przerwano, dalszy ich ciąg dziś.

Paryż 14 lutego. Przed sądem przysięgłych toczył się wczoraj proces przeciw 3 sprawcom napadu na dyrektora dziennika *Grande bataille* Rogera i przeciw współobwinionemu wydawcy pisma *Antijuif* Guerinowi. Wszystkich oskarżonych uwolniono. Przed gmachem sądowym usiłowało około 50 anarchistów wywołać demonstracye, policya jednak wkroczyła i rozprószyła zbiegowisko, przyczem aresztowała 8 ekscedentów.

Budapeszt 14 lutego. W miasteczku Kis-Czell usiłowało około 300 włościan wtargnąć do budynku kasy oszczędności. Żandarmerya wystąpiła i rozprószyła napastników. Władze miejscowe udały się do starszego żupana z prośbą o pomoc wojskową.

Cylea 14 lutego. Wczoraj odbyło się w Sauerbrunn słoweńskie zgromadzenie ludowe, w którem wzięło udział bardzo wielu uczestników, a przedewszystkiem duchownych. Zgromadzenie wydało hasło, iż należy starać się o podział Styryi na dolną i górną, tj. słoweńską i niemiecką.

Wiedeń 14 lutego. Były elew leśny Alojzy Ritter, który w uniformie oficera artyleryi, przybierając różne fałszywe nazwiska, mianowicie w Wiedniu hr. Zachony'ego, a w Pradze hr. Szeptyckiego, dopuszczał się różnych oszustw a ostatecznie został aresztowany w Chebie, stawał wczoraj przed tutejszym sądem przysięgłych, który go uznał winnym oszustwa we wszystkich punktach zarzuconej mu zbrodni, a trybunał zasądził go na 6 lat ciężkiego więzienia.

Wiedeń 14 lutego. Prof. Zawiejski wygłosi odczyt w Towarzystwie architektów o koniecznych zdaniem jego zmianach w gmachu operowym dla redut.

Ateny 14 lutego. Były minister wojny jenerał Smoleński ubiega się o mandat poselski, aby mógł, jak twierdzi, odpowiedzieć w parlamencie na zarzuty, uczynione mu przez następcę tronu z powodu wojny grecko-tureckiej.

Wiedeń 14 lutego. Do *N. Fr. Presse* donoszą z Opawy, że sądy powiatowe w Karnowie (Jagerndorf) i w Bukowicach (Frauwaldau) odrzuciły pisma stron wniesione w języku czeskim, motywując odrzucenie tem, że językiem urzędowym tych sądów jest język niemiecki. Sąd krajowy w Opawie na wniesione rekursa stron, rozstrzygnął w duchu orzeczeń pomienionych sądów powiatowych.

Opawa 14 lutego. Na porządku dziennym wiecu niemieckiego zwołanego na 26 bm. znajdują się następujące sprawy: 1) rozporządzenia językowe dla Szląska i upaństwowienie czeskiego gimnazyum w Opawie, 2) położenie polityczne i stanowisko zajęte w Radzie państwa przez niemieckie katolickie stronnictwo ludowe, 3) austryacko-węgierska ugoda, 4) wybór komisyi dla ustalenia zasad na podstawie których ma być ustanowione wspólne postępowanie Niemców szląskich.

Wiedeń 14 lutego. Do *Wiener Tagblatt* donoszą z Chebu, że narodowcy niemieccy urządzili tam onegdaj demonstracyę uliczną z powodu zakazu postawienia pomnika Bismarkowi. Demonstranci przeciągali ulicami miasta, śpiewając Wacht am Rhein i pieśń Bismarka.

Sztokholm 14 lutego. Poseł szwedzki w Petersburgu Renterskjoeld donosi, że gubernator Syberyi wschodniej potwierdza, iż dwaj Tunguzi zakomunikowali urzędnikom państwowym wiadome szczegóły o znalezionym wrzekomo balonie Andreego. Gubernator wysłał inspektora kopalń złota, który na miejscu przedsięweźmie odpowiednie badania.

Wiedeń 14 lutego. Donoszą do *Wiener Tagblattu* z Zurychu, że nadeszły tam wiadomości o ponownem osuwaniu się góry w Airolo, podobnem do tego usuwania się tej góry, które wywołało znaną katastrofę 27 grudnia ubiegłego roku, kiedy to jeden wielki hotel i kilka domów zostało zasypanych, a kilka osób straciło życie. Wejście do tunelu św. Gotharda i środkowa część wsi Airolo mają być zagrożone. Co do rozmiarów niebezpieczeństwa brak dotąd bliższych szczegółów.

Paryż 14 lutego. Jak donosi *Siècle*, na ostatniej radzie gabinetowej oświadczył minister wojny Freycinet, że wielka ilość generałów uchwaliła wspólnie podać się do dymisyi, w razie, gdyby sprawa rewizyi procesu Dreyfusa nie została odebraną Izbie karnej trybunału kasacyjnego. Groźba ta wywołała wielkie wrażenie i była głównym powodem, dla którego prezydent ministrów Dupuy zdecydował się przedłożyć w parlamencie znaną ustawę rewizyjną.

Berlin 14 lutego. W cyrku Buscha odbyło się tutaj zgromadzenie agraryuszy, które uchwaliło rezolucyę, wyrażającą zadowolenie, że rząd centralny powraca do zasad ekonomii polityki Bismarka. W końcu rezolucya domaga się ochrony dla produktów swojskich i aby przy zawieraniu traktatów handlowych i ekonomicznych dalej przy imporcie bydła i towarów, produkta krajowe zawsze były uprzywilejowane względem obcych.

Wiedeń 14 lutego. Wicesekretarz w ministerstwie spraw wewnętrznych Włodzimierz Decykiewicz, został sekretarzem tego ministerstwa.

Rzym 14 lutego. Śledztwo przeciw rzekomym anarchistom o przygotowanie zamachu na cesarza Wilhelma w Aleksandryi, zostało już ukończone. Konzul włoski skonstatował, że bombę u pewnego szynkarza podrzucił jeden z agentów policyjnych, który spodziewał się przez odkrycie rzekomego spisku zyskać odznaczenie. Konzul zażądał aby przeciw temu agentowi wdrożono śledztwo karne. Akta sprawy zostały już odesłane sądowi w Ankonie.

HOTEL IMPERIAL

(pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia)

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 14 lutego. J. hr. Potocki z Rymanowa. J. hr. Badeni z Podsadek. K. hr. Firmian z Jaworowa. Prof. F. Smolka i K. Ehrenberg z Krakowa. K. Benoist, A. Jalies i L. Zych z Tarnopola. Br. J. Landau z Berlina. S. Małyszczycki i J. Grot z Warszawy.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON

Lwów — Plac Maryacki.

Pszyjechali dnia 14 lutego. E. Mühlbauer, J. Quirsfeld i R. Bergmann z Wiednia. Z. Ajdukiewicz z Komarna. K. Szumski z Borysławia. W. Stanek z Konstantynopola. G. Kaufmann z Sołotwiny. J. Szilasi z Pesztu. Dr. A. Jonas z Stanisławowa. L. Rosenzweig z Wiednia.

HOTEL ŻORZA

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 14 lutego. Józef Jabłonowski z Zagwoździa. Stefan Tustanowski z Żurowa. Tadeusz Fedorowicz z Klebanówki. Tadeusz kniaź Puzyna z Piadyk. Tadeuszowie Szymanowscy z Żukocina. Ludwik hr. Koziebrodzki z Chlebowa. Albert Gschwindl z Wiednia. Karol br. Periere z Hruszowa.

NADESŁANE.

Lwów 14 lutego. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210 30 do 21[illegible]30. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 290 — do 296 —. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, [illegible]77 — do [illegible]7 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a 205· do 212· . Tow. budowy wagonów w Sanoku 258 — do 265 —. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 204 00 do 206·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat z 10 proc. prem. 110.30 do 111 00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100. - do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96 50 do 97·20. Banku kraj 4 i pół proc los w 61 lat 101 — do 101·70. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 98·— do 98·70 — Tow. kred gal ziemskie 4 proc (I emisya) 97.30 do 98 —, 4 proc los w 41 i pół latach 97·30 do 9[illegible] —, 4 proc. los w 56 lat 9[illegible]40 do 96·30.

Berlin 13 lutego. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·55. Spirytus 38·80.

Paryż 13 lutego. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 102·97. Mąka na miesiąc bieżący 00·00.

Frankfurt 14 lutego. (Giełda wieczorna). Austryackie kredyty 231·30; kolej państwowa 155·10; alpiny 000·00; dyskonto 203·60; laura 000·00.

Wiedeń 14 lutego. (Giełda towarowa). Spirytus 18·—18·10. Nafta galicyjska 18·40—19·90, cukier surowy 12·20—12·25. Wszystko spokojnie.

Wiedeń 14 lutego. Pszenica na wiosnę 9·58—9·59, na maj-czerwiec 9·27—9·28; żyto na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na maj-czerwiec 5·03—5·04; owies na wiosnę 6·11—6·12; rzepak 12·25—12·35; olej rzepakowy 33—34. Tendencya pewna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 14 lutego. Pszenica na marzec 9·67—9·68; na kwiecień 9.45—9·46, na październik 8·57—8·59; żyto na marzec 7·86—7·88; kukurudza na maj 4·74—4·75; owies na marzec 5·81—5·82; rzepak na sierpień 12·00—12·20. Popyt na pszenicę: —·—. Tendencya słaba. Pogoda: piękna.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH

obowiązujący z dniem 1 października 1898
(Czas środkowo-europejski).

Pociąg pośp.	Pociąg osob.	Do Lwowa: (przyb. o godz.)
	3·04	Z Podwołoczysk na dworzec Podzamcze
	3·30	Z Podwołoczysk na dworzec główny
6·10		Z Krakowa (Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy, z Orłowa, Chabówki, przez Rzeszów) z Sambora przez Przemyśl
—	6·45	Z Ickan, (Rumunii), Bukowiny, Husiatyna i Kałusza
	7·40	Z Janowa
	7·50	Z Tarnopola i Brodów na dworzec Podzamcze
	7·56	Ze Sokala i Rawy ruskiej
	8·05	Z Ławocznego (Pesztu, Kałusza, Chyrowa i Stryja)
	8·16	Z Tarnopola i Brodów na dworzec główny
	9·05	Z Krakowa, (Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy z Orłowa, [illegible])
	10·35	Z Ickan, z [illegible]
—	10·45	Z Jarosławia i Lubaczowa
	1·01	Z Janowa
1·30		Z Krakowa, (Wiednia, Chabówki, i N. Sącza)
	1·40	Ze Skolego i Stryja, Kałusza i Chyrowa.
1·50		Z Ickan, (Rumunii, Husiatyna i Kałusza)
2·15	—	Z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, na dworzec Podzamcze
2·20	—	Z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna na dworzec główny
—	5·00	Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy) Grzymałowa, Kosowy, Brodów, na dworzec Podzamcze
	5·25	Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Kosowy, Brodów, na dworzec główny
	5·40	Z Ickan, (Rumunii, Kosowy), Podwysokiego
	5·55	Z Sokala, Bełzca i Lubaczowa
	8·10	Z Krakowa, (Wiednia), Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa, Nadbrzezia, Sambora i Chyrowa przez Przemyśl
8·45	—	Z Krakowa, (Wiednia, Krosna, Iwonicza, Rymanowa Sanoka, Jasła przez Rzesz. Lubaczowa i Jarosław
	9·5[illegible]	Z Krakowa, (Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy) Wieliczki Lubaczowa przez Jarosław Jasła, Krosna Iwonicza Rymanowa, [illegible] Łaborcza, Pesztu przez Przemyśl
9·[illegible]		Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy) Brodów, Kopyczyniec na dworzec Podzamcze
9·4[illegible]	—	Z Ickan, (Rumunii, Słobody r., Husiatyna, Kosowy)
9·5[illegible]		Z Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec na dworzec główny
	10·[illegible]	Z Ławocznego (Pesztu), Chyrowa i Borysławia
	11·15	Ze Stryja, Kałusza i Borysławia

Pociąg pośp.	Pociąg osob.	Ze Lwowa:
[illegible]	[illegible]	[illegible]

Uwaga. Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut. Godz. 12 czasu środkowo-europejskiego równa się godz. 12·36 podług zegara lwowskiego. Nocne godziny od 6 wieczorem do g. 5 m. 59 rano objęte są [illegible] ramkami. — Biuro informacyjne c. k. kolei państwowych przy ulicy Trzeciego Maja (Hotel Imperial), udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje bilety jazdy i rozkłady jazdy [illegible] formacie kieszonkowym.

Tajemnicze morderstwo

POWIEŚĆ

przez

Fortunata du Boisgobey.

(Ciąg dalszy).

— Bywały jednak wypadki, w których podawano ją w wątpliwość. I z czegoż żyje ów margrabia? Powiadają, że miał niegdyś fortunę, lecz nic mu już z niej nie pozostało. Dla wypełnienia tej luki obrał sobie podobno za specyalność wprowadzanie w świat arystokratyczny ludzi, którychby tam nie przyjmowano bez jego rekomendacyi; mówią także, że ludzie ci dają mu dowody swojej wdzięczności. Margrabia ma piękne stosunki i spożytkowuje je na swój sposób. Nie jest to wzbronionem.

— Byłoby to nikczemnem i nie chcę w to wierzyć, również jak i w nierzetelność gry barona. Dobranoc panu — zakonkludował Jakób de Gouville, odwracając się plecami do swego interlokutora.

Colimard nie był źródłem wiarygodnem; wiedziano, że lubi obmawiać po za oczy i że często zmienia zdanie o ludziach, Gouville nie chciał słuchać jego insynuacyi, tem niemniej jednak wywarły one na nim pewne wrażenie.

Każdy, kto się zgra w karty, ma w głębi serca pewną urazę do swego przeciwnika. Gouville począł się zastanawiać, czy w słowach Colimarda nie było ziarnka prawdy.

Wiedział dobrze, jak łatwo cudzoziemiec dystyngowanej powierzchowności otrzymać może wstęp do najlepszych towarzystw, a było mu przytem wiadomo, że wielu szlachciców podupadłych żyje z niezbyt uczciwych procederów.

Gouville postanawiał zasięgnąć bliższych informacyi co do p. d'Ambre u przyjaciela swego, Karola de Percey, którego świadectwu mógł zaufać ślepo.

Oddawna już się z nim nie widział, gdyż Percey był w nieustannych podróżach, lecz znał jego adres i postanowił zgłosić się doń niebawem.

Tymczasem należało oddać pieniądze p. d'Ambre. Gouville rozważał, czy zamiast posłać je przez służącego, nie lepiej było skorzystać z tej sposobności dla zobaczenia przeciwnika w jego własnym domu. Miał nadzieję w ten sposób poznać go lepiej i skierować rozmowę na przedmioty, o których chciał bliższe powziąć informacye.

Nie wątpił, że baron go przyjmie; chciał być u niego przed złożeniem wizyty hrabinie, która zapewne wstawała dopiero popołudniu.

Lokaj, którego Jakób posłał do szwajcara klubowego po adres, przyniósł go niebawem. Na ćwiartce papieru wypisane było: Baron d'Ambre, ulica Kopernika 8.

Gouville wsunął papier do kieszeni, zaledwie rzuciwszy nań okiem. Dopiero po chwili przyszło mu na myśl, że ulica Kopernika zaczynała się przy alei Klébera, po stronie, gdzie stał pałac hrabiny.

Eksplorując tę uliczkę (noszącą, niewiadomo dlaczego, nazwę słynnego astronoma), oprócz parkanów i murów Gouville nic w niej nie dojrzał. Co prawda, nie doszedł do jej końca. Dom, zaopatrzony numerem 8, musiał się znajdować po za ulicą Lauriston, od strony placu Eylou.

Dziwnem się wydało Gouvillowi to sąsiedztwo p. d'Ambre z piękną kreolką. Zaczynał przypuszczać, że się znają. Taki wniosek był mu na rękę, gdyż dopytując się barona o hrabinę de Salazie i hrabiny de Salazie o barona, mógł zasięgnąć o obojgu ważnych dla siebie informacyi.

Ułożywszy sobie plan kampanii, Gouville wyszedł z klubu dobrze po północy.

— Tam do licha — myślał zstępując po schodach — choćby nawet ów kreolczyk oszukiwał w karty, a kreolka była awanturnicą, cóż mnie to może obchodzić, skoro nie zasiędę już do zielonego stolika z baronem, a nie myślę się kochać w hrabinie? W tem ostatniem wyręczy mnie Ponteroix i jemu też oddam usługę, dowiadując się bliższych szczegółów o kobiecie, która, o ile mi się zdaje, chce go zbałamucić na dobre. Po wuju — siostrzeniec! Bo że stary Roscauval był w najściślejszych stosunkach z tą syreną, to nie ulega wątpliwości. Swoją drogą uczynię, co tylko będzie w mojej mocy dla wyplątania Pawła z jej sideł. W razie pomyślnego skutku, czeka mnie wdzięczność panny de Roscauval.

II.

Nazajutrz, od samego rana, Gouville zaczął się starać o pieniądze. Popołudniu miał już całą kwotę i szedł w stronę alei Klébera, dla wręczenia jej osobiście swemu wierzycielowi, poczem zamierzał złożyć pierwszą wizytę pani de Salazie.

Przeszedł, nie zatrzymując się, obok jej domu, skręcił w ulicę Kopernika, która przy świetle słonecznem nie wydała mu się wcale tajemniczą.

Po lewej stronie wznosiły się domki ze sklepami, po prawej długi mur. Numer 8-my był pierwszym z kolei, nie dochodząc do ulicy Lauriston. Gouville zobaczył go nad bramą dwupiętrowego, przylegającego do muru pawilonu. Niebawem za pewne na miejscu tego muru powstaną domy pod numerami: 2, 4, 6 i 10.

Pawilon stał pomiędzy ulicą i oparkanionym placem, który Gouville okrążył był zeszłego wieczoru.

Jeżeli po za tą budowlą był ogród, musiał on graniczyć z ogrodem hrabiny.

Sąsiedztwo jej zapewne zwabiło tutaj p. d'Ambre.

Tem lepiej dla Gouvilla. Jeśli baron pozostawał w ścisłych stosunkach z panią de Salazie, łatwo będzie zasięgnąć u niego informacyj o tej damie.

Przejęty taką nadzieją, Jakób miał właśnie zadzwonić, gdy przed bramą zatrzymał się *dog-cart*, a z niego wyskoczył Karol de Percey.

— Jakto, to ty — zawołał, spostrzegając Gouvilla — niech mnie dyabli porwą, jeślim się spodziewał spotkać cię tutaj.

— Dlaczego? Nie jest to przecież na końcu świata.

— Stamtąd właśnie wracam. Trzy tygodnie przepędziłem w Kanadzie, gdziem się schronił od widoku wieży Eiffel... Jestem tu znowu i przybywam odwiedzić przyjaciela.

— Pana d'Ambre?

— Więc go znasz?

— Bardzo mało. Po raz pierwszy widziałem go w klubie dziś w nocy.

— To ja go tam przedstawiłem.

— Wiem. Odnoszę mu pieniądze, przegrane wczoraj w écarté.

— Nie dziwi mnie to. Baron ma szalone szczęście do kart, jak zwykle ludzie bardzo bogaci, lecz jest on przytem gentlemanem i gotów ci dać rewanż, kiedy zechcesz.

— Nie chodzi mi o to wcale.

— I masz racyę. Najfałszywszą zasadą jest odegrywać się.

Młodzi ludzie zadzwonili.

Ukazał się odźwierny.

— Czy zastaliśmy pana w domu? — zapytał Percey.

— Pan baron wyszedł przed chwilą.

— Oddaj-że mu ten pakiet i nasze bilety wizytowe — rzekł Gouville, wręczając pieniądze opasłemu stróżowi.

— Szkoda, żeśmy się z nim minęli — dodał za bramą do swego towarzysza. — Chciałem poznać bliżej pięknego barona. Lecz prawda, tyś go zarekomendował. Powiedz-że mi, jaki to rodzaj człowieka?

— Gentleman, powtarzam. Bardzo drażliwy na punkcie honoru. Miał wiele pojedynków, które najczęściej źle się kończyły dla jego przeciwników.

— Mówiono mi już o tem, również jak i o jego powodzeniu u kobiet.

— Istotnie, szaleją za nim.

— Czy ci nie wspominał o niejakiej hrabinie de Salazie... z wyspy św. Maurycego?

— Nie, nigdy. Dlaczego mnie o to pytasz?

— Wpisana była zapewne na liście jego zwycięstw. Jest to kobieta niepospolitej urody, i o ile mi się zdaje, dość przystępna.

— Więc ją znasz?

— Z widzenia tylko. Obecnie mieszka ona w Paryżu.

— Po raz pierwszy słyszę jej nazwisko. Nie wiedziałem nawet, że na wyspie św. Maurycego poławiają się hrabiny. Lecz choćby nawet d'Ambre był z nią w ścisłych stosunkach, nie powierzyłby mi takiej tajemnicy. Do wielu zalet barona należy także wielka dyskrecya. Nie chwali się nigdy swemi podbojami i nie radziłbym nikomu zadawać mu pytań w tym względzie.

— Nie mam tego zamiaru — upewniał Gouville. — Zadałem ci to pytanie mimochodem. Nic mi na tem nie zależy.

— Tem lepiej. Przy bliższem poznaniu p. d'Ambre, przekonasz się, jaki to miły i porządny człowiek. Zbliżę was ze sobą, bo trzeba ci wiedzieć, że przyjeżdżam do Paryża na czas dłuższy, na całe dwa miesiące. Potem jadę do Monte-Carlo, stamtąd do Egiptu, gdzie zamierzam przepędzić zimę. A teraz, żegnaj, mój drogi. Zobaczymy się niebawem, kto wie nawet, czy dziś wieczór nie wpadnę do klubu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAPROSZENIE.

na nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Krajowego Towarzystwa Zaliczkowego urzędników Stowarzyszenia zarejestrowanego z poręką ograniczoną, które się odbędzie dnia 18 Lutego 1899 o godzinie 5 popołudniu w biurze Towarzystwa (ul. Skarbkowska 5).

Porządek dzienny.

Zmiana §. 24 lit. E. statutu.

Udział w tem zgromadzeniu mogą brać członkowie, którzy mają wpłaconych najmniej 50 złr. w. a. na udział.

W razie, gdyby nie zjawiła się (§. 19 statutu). przepisana liczba członków, odbędzie się dnia 25 lutego 1899 powtórne zgromadzenie z tym samym porządkiem dziennym.

Z Dyrekcyi krajowego Towarzystwa zaliczkowego urzędników Stowarzyszenia zarejestrowanego z poręką ograniczoną.

Lwów dnia 12 lutego 1899.

Jan Biczaj członek dyrekcyi. *Karol Gracka* prezes.

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia Narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów Hotel Georga.